AS



Nr. 9

28 LUTEGO 1937 R.
CENA 40 GROSZY

POEZJA ZIMOWEGO KRAJOBRAZU



Lunia Nestor na scenie...

Tancerka trzech kontynentów

LUNIA NESTOR

Lunia Nestor tańczyła i grała w swem życiu już na scenach trzech kontynentów. Petersburg, miasta dalekiej Syberji, Mandżurja, Japonja, Stany Zjednoczone, Ameryka Południowa, Kanada, Paryż, wreszcie wiele scen polskich — oto pobieżny przegląd podróży artystki, w których wszędzie jej występy cieszyły się wielkiem powodzeniem. P. Nestor posiada dwa olbrzymie albumy, zawierające wyłącznie programy i recenzje ze swoich występów. Jedną z najoryginalniejszych pamiątek z tego ciekawego zbioru to niewątpliwie afisz, pisany alfabetem japońskim, z jednego z koncertów p. Nestor w Japonji.

W eleganckiem mieszkaniu państwa majorostwa Śmietańskich (p. Nestor jest małżonką p. mjr. Śmietańskiego) spędzamy godzinę na miłej pogawędce przy wspomnianych albumach.

— Kiedyż zdążyła pani objechać cały świat wkoło? — zapytuję uroczą platynową blondynkę o ciemnych oczach w pięknej czarnej oprawie.

Lunia Nestor odpowiada z dumą:

— Przecież jestem już blisko dwadzieścia lat na scenie!

— Co takiego?!!! Ależ to niemożliwe — wykrzykuję, widząc przed sobą młodą kobietę, której trudnoby było udowodnić, iż wogóle posiada dwadzieścia lat życia, a cóż dopiero dwadzieścia lat pracy scenicznej!

— No tak, ale musi pan wiedzieć, iż zaczęłam tańczyć jako zupełnie mały dzieciak, nie umiejący jeszcze dobrze mówić „r". Jako dziewczynka siedmioletnia dawałam już własne recitale taneczne w Petersburgu, gdzie też uczęszczałam do szkoły baletowej przy Wielkiej Operze. Nawet i z tych lat zachowały mi się programy z memi fotografjami i recenzje w prasie — to mówiąc, pokazuje pani Nestor odpowiednie karty jednego ze swych albumów.

— Ta dziewczynka to ja — słyszę wyjaśnienie.

Talent taneczny malutkiej Luni okazał się wprost niemal zbawiennym dla całej jej rodziny. Rewolucja bolszewicka zmusiła rodzinę pani Nestor do opuszczenia Petersburga, przyczem powzięto zamiar, by przedostać się do Polski przez Syberję i Japonję, jak to czyniło wówczas wielu Polaków. Funduszów na tę wielką podróż rodziny, liczącej kilka osób, dostarczała wówczas dzielna Lunia, dając w szeregu miast swoje wieczorki taneczne. Fundusze uzyskane w jednem miejscu pozwalały na kontynuowanie podróży do dalszego etapu. W ten sposób przez Jekaterynburg, Irkuck i inne miasta syberyjskie dojechano do Władywostoku i wreszcie do Japonji. Tu mała Lunia zaaklimatyzowała się na dłużej, mieszkając wraz z rodziną całe dwa lata, oczywiście tańcząc niemal we wszystkich miastach Japonji, jak Tokio, Kioto, Nagasaki, Jokohamie itd. Z tych czasów opowiada pani Nestor ciekawy szczegół swego życia:

— W Japonji sztuka taneczna stoi bardzo wysoko. To też skorzystałam z pobytu w tym kraju i postanowiłam pogłębić swoje wiadomości z tej dziedziny. Brałam lekcje u pewnego profesora tańca, p. Haito, staruszka siedemdziesięcioletniego. Praktycznie z owej nauki dużo zyskać nie mogłam, bowiem tych tańców, których uczą szkoły japońskie, w żadnym wypadku nie możnaby tańczyć tu w Europie. Byłyby zupełnie niezrozumiałe. Podam dla przykładu, że u nas występ tancerki na scenie trwa zaledwie kilka minut; w Japonji taniec jednej tancerki (a nie zespołu!) trwa godzinę lub więcej. Tematem tańca mogą być takie rzeczy, jak naprzykład zupełnie przeciętne czynności domowe, powiedzmy gotowanie obiadu. Oprócz tancerki znajduje się na scenie w czasie takiego tańca druga jeszcze kobieta, spełniająca rolę pomocnicy, która podaje głównej tancerce różne przedmioty, przebiera ją itd. Zamierzałam kiedyś zatańczyć w Polsce jeden z oryginalnych tańców japońskich, jednakże trudność wystawienia ich polega jeszcze na tem, iż tańce japońskie wymagają oryginalnej muzyki japońskiej.

— Jakież jeszcze ciekawsze wspomnienia posiada pani z czasów pobytu swego w Japonji?

— Bardzo dużo tańczyłam w japońskich szkołach, i to nie w szkołach tańca, lecz w szkołach ogólnokształcących. Wieczorków takich dałam kilkadziesiąt, a były one połączone z prelekcjami różnych profesorów na temat kultury i sztuki europejskiej. Na tych pokazach tańczyłam przeważnie narodowe tańce hiszpańskie, stylowe francuskie, no i oczywiście możliwie jaknajwięcej naszych narodowych polskich. Przed każdym z nich wygłaszano odpowiednie prelekcje, odnoszące się do danego kraju.

Z Japonji udała się Lunia Nestor do Ameryki, gdzie z kilkoma przerwami przebyła dziesięć lat. Okres pobytu pani Nestor w Ameryce, a zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych A. P., to czas największego rozkwitu talentu aktorskiego i organizacyjnego artystki, a przytem jej największych triumfów. Po kilku miesiącach nauki tańca u słynnego włoskiego baletmistrza opery Metropolitan w Nowym Jorku, p. Albertieri, pani Nestor postanowiła usamodzielnić się, otwierając własną szkołę baletową. Do szkoły tej przyjmowane były wyłącznie młode Polki urodzone i mieszkające stale w Stanach Zjednoczonych. Szczególne uznanie zyskały sobie szkoły p. Nestor wśród Polonji amerykańskiej, która doceniała fakt, iż uczennice jej uczyły się nietylko tańca, ale często kroć języka polskiego, którego dotychczas nie znały. Wreszcie zdecydowała się pani Nestor wystąpić publicznie ze swym własnym baletem. Właśnie nadarzała się doskonała okazja wystawienia baletu w polskich operach „Halce" i „Strasznym Dworze" przedstawieniach, organizowanych wówczas przez naszego wielkiego śpiewaka Didura. Na Międzynarodowej Wystawie Filadelfijskiej w roku 1926 balet p. Nestor wraz ze swoją popularną już w Stanach profesorką, zajął kilka wieczorów w czasie tak zwanych „Polskich Dni". W tym czasie angażuje panią Nestor baletmistrz rosyjski Aleksy Kazłow na stanowisko primabaleriny do słynnych oper San Carlo w Nowym Jorku i Opery w Filadelfji, gdzie pracowała dwa sezony. W roku 1929 wyjeżdża pani Nestor ze swym własnym zespołem wraz z operą włoską Manhattan na gościnne występy do Wenezueli, a następnie do Kanady.

— Jakże się stało — zapytuję p. Lunię, iż opuściła pani ten wielki, ponętny, Nowy Świat?

— To bardzo proste. Zakochałam się. Przyjechałam do Polski i...

Tu piękne oczki pani Luni spoglądają z czułością w stronę jej małżonka.

— Jakiż jest program pani pobytu obecnego w Polsce? — pytam na zakończenie.

— Obecnie znowu studjuję. Prócz tańca, pracuję i nad grą sceniczną i nad swym głosem. Jak pan wie, jeszcze za pobytu mego w U.S. A., grałam w tamtejszych polskich teatrach nawet odpowiedzialne role. Mój debiut dramatyczny — to rola tancerki Beli w komedji Kiedrzyńskiego „Najszczęśliwszy z ludzi", wystawionej w Nowym Jorku. Już za bytności w Polsce grałam w Kaliszu, w Toruniu główne role w „Migo", w „Tajemniczym Dżemsie". Były to jednak próby do znalezienia dla siebie drogi najwłaściwszej. Gdy zaczęłam wreszcie kształcić swój głos, znalazłam tę właściwą drogę w...

— W operetce! — zgaduję dalszy ciąg słów p. Nestor — której debiuty operetkowe w „Zakochanej Królowej", a zwłaszcza w „Tancerce z Andaluzji", zdobyły sobie wielkie uznanie prasy i publiczności.

— Tak jest! — kończy przemiła pani Lunia. Tu mogę grać, tańczyć i śpiewać! Wtedy dopiero czuję, że naprawdę jestem całą duszą na scenie, którą tak ukochałam od dziecka!

Romit.



...i w życiu codziennem.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). - TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor, prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 9 **Niedziela 28 lutego 1937** **Rok III**

Jan Kiepura i Marta Eggerth na »Pomoc zimową«





FOT. „AS"

Ub. niedzieli odbył się w sali Starego Teatru w Krakowie wielki koncert Jana Kiepury i jego żony Marty Eggerth na cele „Pomocy zimowej", transmitowany przez Pol. Radjo. Tłumnie zebrana publiczność zgotowała koncertantom żywiołową owację. Na zdjęciach: Jan Kiepura i Marta Eggerth na estradzie sali koncertowej.

Modrzejewska i Wysocka

NAJWIĘKSZE TRAGICZKI SCENY POLSKIEJ

„Lubię bajki — wyznaje Stanisława Wysocka. — W repertuarze matki mojej było tych bajek bez liku, opowiadanych z dramatyczną ekspresją (jako że podejrzewam, iż posiadała talent aktorski). Lecz i ten bogaty repertuar wyczerpał się i znudził. „Przypomnij sobie nową" — prosiłam, aż oto przyszedł pomysł i nicią przewodnią tych nowych bajek stała się jakaś postać niewieścia, która przeistaczała się w coraz to nową bohaterkę bajki: więc była raz nieszczęśliwą królową, skazaną na ścięcie, to znów nieszczęśliwą aktorką, otrutą kwiatami przez złą kobietę, to znów złą żoną, namawiającą męża do zbrodni i za karę umierającą w obłędzie, a wszystko to działo się w jakimś teatrze — a ta bajkowa pani nazywała się Modrzejewska"

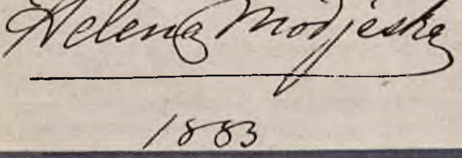
Tęsknota za bajką życia, pragnienie odegrania wszystkich ról bohaterek baśni, spotkania się w teatrze z „bajkową panią" Heleną Modrzejewską — zmusiły 16-letnią Stanisławę Wilską (panieńskie nazwisko) do opuszczenia gimnazjum po 6-ciu klasach i wędrówki po deskach teatralnych, na których królowała wspaniała postać wielkiej artystki, w której cieniu przyszło grać Wysockiej długie lata. Pierwsze lata wędrówek po prowincjonalnych teatrach, rozpoczętych w r. 1895 były żmudne i ciężkie, ale młodociana artystka raz po raz odrzucała propozycje scen rosyjskich i niemieckich, które wróżyły jej wielką przyszłość, tęskniąc jedynie za dobrym polskim teatrem. I znalazła się u progu bieżącego stulecia w krakowskim teatrze, kierowanym wówczas przez entuzjastę poezji romantycznej i klasycznego repertuaru Józefa Kotarbińskiego. Tu w świetnym okresie polskiego teatru talent Wysockiej dojrzewał i krystalizował się, sięgając po najtrudniejsze dramatyczne role. Szybko staje się Wysocka pierwszą tragiczką sceny krakowskiej, wciąż marząc o spotkaniu z ucieleśnieniem bajek dzieciństwa, o spotkaniu z Modrzejewską, bawiącą wówczas na drugiej półkuli.





Gmach Starego Teatru w Krakowie. Widok z połowy XIX wieku.

Na lewo: Własnoręczny rysunek teatralny Heleny Modrzejewskiej. (Własność prof. Laszczki).



Na lewo: Autograf Heleny Modrzejewskiej. — Poniżej: Helena Modrzejewska.



I rzeczywiście w styczniu 1903 r. „z utęsknieniem oczekiwana i upragniona — jak pisze jeden z dzienników — najbardziej królewska ze wszystkich artystek" Helena Modrzejewska zjechała do Krakowa, by zagrać kolejno lady Makbet, Idalję w „Fantazym" Słowackiego, Marję Stuart w tragedji Schillera i Beatriks w komedji Szekspira „Wiele hałasu o nic". W kilka tygodni później Modrzejewska gra rolę Sylwji w „Giocondzie" d'Anunzia, Antygonę w tragedji Sofoklesa i Laodamię w „Protesilasie i Laodamji" Wyspiańskiego. Wówczas jak wspomina Wysocka — „odżyły wszystkie bajki, uplastyczniły się tak wyraziście, jakby były przeżyte realnie. Ciekawość — wzruszenie — lęk — a nadewszystko rozpacz i poczucie nieudolności, gdy kazano mi być tą drugą królową, skazującą ową nieszczęśliwą z bajki na śmierć — doprowadzały mnie do nieprzytomności (grała Wysocka rolę Elżbiety, obok Marji Stuart Modrzejewskiej). Bóg i Schiller przebaczą Elżbiecie, która zresztą na przedstawieniu, z nosem utkwionym w jakiejś szparze płótna dekoracyjnego, patrzyła na wcielanie swojej bajki, zapominając zupełnie, że ma poczuć nienawiść i srogość względem tej uroczej a tak bardzo nieszczęśliwej postaci, która jak biały gołąb fruwała po scenie w nieświadomości okrutnego losu, jaki ją czeka".

Schillerowską Marję Stuart uważa wielu krytyków za najznakomitszą kreację genjalnej artystki, której talent po powrocie z Ameryki przeobraził się i spotęgował. Jak stwierdza Kotarbiński (w książce „Aktorzy i aktorki") „głos jej stracił nieco aksamitnej miękkości, powlókł się lekką gazą, przydechem, ale nabrał tężyzny i mocy, zwłaszcza w dolnym rejestrze", „Wspaniałą była postać i sylweta królowej męczennicy — wspomina dalej Kotarbiński — wysmukłej, w ciemnym, hiszpańskim kostjumie z wielką kryzą u szyi, gibkiej w ruchach, a jednak imponującej. W każdym słowie, w każdym akcencie, w każdym ruchu przebijał się majestat i godność monarsza, gorąca siła wiary i przekonania, gdy broniła swej sprawy wobec prześladowców. W wielkiej scenie kłótni między Marją a królową Elżbietą, artystka po mistrzowsku stopniowała przejście od rezygnacji i pokory do wybuchu szalonego gniewu i oburzenia pod wpływem okrucieństwa i pychy swej rywalki. Każde jej słowo padało



Helena Modrzejewska jako lady Makbet w tragedji Szekspira.

z druzgocącą siłą, którą wydobyła, skupiając akcenty na głównych wyrazach i mocno artykułując spółgłoski. Nie było w tem krzyku, ani wielkiego napięcia głosu, ale ekspresja, oparta na mocy wewnętrznej, która wydobyła się w rwącym płomiennym potoku uczuć. Gdy Modrzejewska klękła przed swą rywalką, doznałem takiego wrażenia, jakby klękła — katedra Kolońska. Jakiś ogrom majestatu ducha przed brutalną przemocą materji! Znać było, że Marja strasznie się pasuje, że gnębi, przymusza swe ciało, całą postać, wszystkie muskuły i nerwy, aby zgiąć kolano w poniżającym hołdzie. A później, w końcowej obeldze rzuciła w twarz Elżbiecie słowo: „bękart" z mocą pękającego pocisku, popierając je wspaniałym druzgocącym gestem. W akcie ostatnim, gdy Marję prowadzono na szafot, przechodząc tuż przede mną (Kotarbiński grał rolę Leicestra), artystka cudnie szeptała po cichu słowa psalmu: „De profundis clamavi, clamavi ad te Domine, exaudi orationem meam". Te słowa brzmiały takiem skupieniem modlitwy przedśmiertnej i chrześcijańskiej rezygnacji, biła z nich taka powaga i podniesienie duszy ku niebu, że chociaż stałem wtedy na scenie o dwa kroki — dreszcz mnie przechodził od stóp do głowy. Zbliżyła się tu intuicyjnie Modrzejewska do filozoficznej koncepcji Schillera, który tworzył poezję ofiary, opierając tragizm na estetycznej antynomji ideału a rzeczywistości. Nie można było wspanialej wyrazić zwycięstwa ducha wiary i piękna nad przemocą — triumfu sprawiedliwości wyższej nad wyrokami sądów ludzkich...".



Na prawo: Stanisława Wysocka jako Balladyna w tragedji Słowackiego.



Stanisława Wysocka jako Hamlet w tragedji Szekspira.



Na lewo: S. Wyspiańskiego „Noc listopadowa". Akt I-szy. Inscenizacja S. Wysockiej, odtwarzającej również rolę Pallas Atene. (Kraków, r. 1935).

W wspomnianym 1903 roku poznała Modrzejewska Stanisława Wyspiańskiego, którego utwory czytała już wcześniej w Ameryce, gdyż posłał jej swe książki sam autor. Modrzejewska odtwarzała rolę Marji, polskiej Kasandry w „Warszawiance", ale inne utwory Wyspiańskiego, tak odmienne od ukochanego przez nią Szekspira, nie bardzo przemawiały do niej. Wstrząśnięta jednak została arcytworem „Wesele", które wraz z „Wyzwoleniem", specjalnie dla niej, wznowiono na scenie krakowskiej. Od tej chwili stała się wielbicielką twórczości Wyspiańskiego i wyuczyła się jednej z najtrudniejszych jego ról Laodamji z tragedji „Protesilas i Laodamja". Była to ostatnia nowo wystudjowana rola Modrzejewskiej, której osobiste wskazówki dawał sam poeta. Wyspiański był oczarowany Modrzejewską i wstrząśnięty jej kreacjami. Piękny pomnik wystawił artystce poeta w studjum o „Hamlecie", wspominając spotkanie z lady Makbet za kulisami krakowskiego teatru. Wyspiański ucałował ją w rękę, „ją lady Makbet — nikt nie jest w stanie mi tego wyperswadować, że to nie była lady Makbet, lecz Modrzejewska".



Stanisława Wysocka jako Lady Macbet w tragedji Szekspira.

W tej samej książce poświęcił Wyspiański jedną z najpiękniejszych kart poetyckiemu opisowi kreacji Modrzejewskiej, która była znakomitą w scenie somnambulizmu, gdy snuła się jak widmo, a „podświadoma męczarnia wyrzutów sumienia brzmiała w tonach ciężkich, wysiłonych, przerywanych cichemi jękami, które wydobywały się z podziemia duszy".

Zjawia się przed Wyspiańskim lady Makbet — Modrzejewska. Wizja potężnie sugestywna, z pozami, godnemi twórczego rzeźbiarza.



Własnoręczny rysunek teatralny Heleny Modrzejewskiej (własność prof. Laszczki).

Poniżej: „Cyd" Corneille'a — Wyspiańskiego w teatrze krakowskim z Wysocką (Szimena) i Solską (Infantka).








Helena Modrzejewska, fot. z około 1870 r., oraz (od lewej) Modrzejewska w rolach: Ofelji („Hamlet" Szekspira), Marji Stuart (Schillera) i Violi („Wieczór Trzech Króli" Szekspira).

Widziałem ją — za kulis stojący osłoną —
Tuż — jak ze stopni górnych szła — Makbeta żoną. —
W białej szacie, w zawoju białym, w lokach.
Zstępuje. — Cisza wielka. Coś się stanie. —
Już skrzypot tylko schodów tych, co po nich stąpa.
Na piedestale rusztowań, u szczytu:
Kamienny posąg wyrzutów sumienia.
I w dłoni wzniesionego wysoko ramienia
Kaganiec światła dzierży... Blask migoce;
Brew wzniesiona...
Oczy rozwarte dwu świec płomieniami
Widzą wszystko — co skryte przeszłości nocami.
Widzą wszystko i mówią wszystko; jak się stało.
Ilu szatanów podszept temu dało...
..Przystanęła! Z ócz bruzdą spływa łza, łza węża...
Łka, cichotka — niedolę duszy swej widząca,
Po tych schodach — na piekło powtórne idąca —
Lady Makbet... Widziałem w oczach tysiąc mieczy!
Nie zapomnieć! Kto oczy od ócz tych uleczy?

Najwięksi artyści, najwięksi pisarze, poeci, Helenie Modrzejewskiej (która zmarła w r. 1909) składali hołd, jako „zjawisku wprost fenomenalnemu", o którem w swej książce pisał Rapacki, że koło Modrzejewskiej urośnie legenda podobna do tej, która opromienia Wenus Afrodytę, iż jak bóstwo greckie, tak i genjalna nasza artystka, o boską harmonję wszystkich czynników artystycznych w swej z głębi ducha płynącej twórczości dbająca, z piany się morskiej urodziła.

Stanisława Wysocka grała w pamiętnym roku 1903 z Modrzejewską nie tylko w „Marji Stuart", ale i w „Giocondzie", gdzie musiała posągiem zdruzgotać cudne ręce uwielbianej Sylwji Modrzejewskiej a wkrótce, na czwartem przedstawieniu tragedji Wyspiańskiego, po Modrzejewskiej zagrała rolę Laodamji. Było to jakby symboliczne podjęcie królewskiego berła w polskim teatrze po wielkiej tragiczce, berła, które przeszło w godne ręce i po dziś dzień nie zostało nikomu przekazane.

Wysocka w wielkich rolach klasycznego repertuaru imponowała zawsze posągowością a równocześnie prawdą i prostotą. Podobnie jak Modrzejewska ukochała postacie ze świata klasycznego, przesiąkła duchem wielkiej poezji, żywi przedziwny kult dla romantyzmu, który wkroczył na sceny polskie, gdy musiała niestety ustąpić z nich Modrzejewska. Wiele ról objęła w spadku po niezapomnianej Modrzejewskiej, bynajmniej nie naśladując wielkiej swej mistrzyni, ale kontrolując z jej kreacjami swoje osiągnięcia artystyczne.

Grała więc i lady Makbet, której przeżycia są dla niej — jak Wysocka sama wyznawała (cytuję za Stefanem Papée, autorem monografji o Stanisławie Wysockiej) — tragedją ambicji i słabości. „Ambicją była lady. W niej płonie nieugaszona żądza panowania. Ona pcha męża do zbrodni, a widząc u niego wahanie i słabość, gotowa sama ciosy zadawać. Pozornie nieugięta, zuchwała, spiżowa, nagle załamuje się po scenie z duchem Banka. Odtąd jest zbolała, lękliwa, bezradna, prześladowana wyrzutami sumienia, bliska samobójstwa, które ostatecznie kończy jej niedolę. Staje się lady mężowi podobną. Ona, która za niego miała męstwo, teraz podwójnie jest kobieca. Wysocka początkowo twarda i bezwzględna, po scenie z Bankiem, odsłania pięknie duszę ludzką, przerażoną i pokutującą. To ujęcie postaci bohaterki, odmienne od pokazywanych zazwyczaj, czyni z lady pełnego człowieka, grzesznego i cierpiącego".

Brak miejsca, by wyliczać wszystkie wielkie kreacje tragiczne Wysockiej i po krótce je charakteryzować. Do nich należą Klitaimetra w „Dziejach Orestesa" Aischylosa, Antygona sofoklesowska, Medea eurypidesowska, Judyta w „Księdzu Marku", Balladyna, Jewdocha w „Sędziach", Młoda w „Klątwie", Pallas w „Nocy Listopadowej", Szimena w „Cydzie", Desdemona w „Otellu", Rebeka w „Rosmersholmie" Ibsena i pani Alwing w jego „Upiorach", dalej matka w „Niespodziance" Rostworowskiego, Roza Weneda, Matka w „Beatrix Cenci" Słowackiego, żona w „Nieboskiej Komedji", obłąkana żona z „Bolesława Śmiałego" Wyspiańskiego i w. i. z ciekawą koncepcją Hamleta, którego zagrała z tragicznym męskim wyrazem.

Kreacje Wysockiej również silny oddźwięk znalazły u wrażliwych poetów, którzy i jej, jak Zegadłowicz, Kosidowski, Sztaudynger, poświęcili swe poematy. Pisze o Wysockiej w „Balladzie" Jan Sztaudynger:

Ona mogąc być „wszystkiemi" dziś już „sobą" być nie może.
Zagubiła się w swej duszy, jak w swych włosów ciemnym borze.
Już się cudzym głosem modli, cudzym głosem z siebie woła
I nie wzdrygnie się przed sądem, gdy ją wezwie głos anioła,
Zapomniała jak się zowie, zapomniała kim to jest,
Jeden uśmiech z dawnej został, jeden rąk tragiczny gest...




Stanisława Wysocka w rolach: Judyty („Ksiądz Marek" Słowackiego) i Matki Makryny („Legjon" Wyspiańskiego). (Wszystkie zdjęcia i autograf Modrzejewskiej ze zbiorów autora artykułu).

Gdy w r. 1920 w krakowskim teatrze dała Wysocka cykl swoich kreacyj, Boy-Żeleński pisał: „W ciągu pobytu p. Wysockiej na naszej scenie, trup trzeba przyznać ścielił się gęsto; jedynie pogodna „Panna mężatka" Korzeniowskiego ocalała z olbrzymiego procentu śmiertelności bohaterów, w wystawionych przez nią sztukach; ale jeżeli kiedy to tu można powiedzieć, że ten posiew krwi, rozlany przez p. Wysocką stanie się na długo zadatkiem nowego życia naszej sceny".

Dziś Wysocka, duch wiecznie niespokojny i nieustannie twórczy, znowu wędruje po wszystkich teatrach w Polsce, by wszędzie siać posiew krwi życia i pogodę twórczej pracy. Gdzie stąpi, rośnie wzniosłe piękno i nowa kultura teatralna. A sama za życia przechodzi do legendy.

Stan. Witold Balicki.

KĄCIK FILATELISTYCZNY



Najnowsze znaczki greckie (rząd pierwszy) wartości trzech drachm z głową króla Jerzego, oraz wartości 50 lepta na cele Czerwonego Krzyża; niżej najnowszy znaczek japoński.

W ciągu dwóch tygodni, t. j. od daty ostatniego „Kącika" ukazało się tyle ciekawych nowości, że nie jesteśmy wstanie omówić ich szczegółowo. W tece redakcyjnej spoczywają najdawniej nowe znaczki greckie, które obok reprodukujemy (ze zbioru p. A. Szperbera i p. Olszewskiej). Narazie nie możemy podać ilości sztuk całej serji z nowym monarchą greckim, dotychczas ukazały się zwykłe wartości za 1 dr. zielona, za 3 dr. czerwona i za 6 dr. niebieska. Wykonane są one w Anglji drukiem wklęsłym i prezentują się okazale.

Serja dobroczynna na „Czerwony Krzyż" także nie dotarła do nas w komplecie. Przedrukowano znaczki różnych wydań, co nie powinno się zdarzać (przynajmniej z punktu widzenia zbieracza), bo ułożenie znaczków o nierównych formatach jest bardzo kłopotliwe. Poza sztuką za 50 l. spotkaliśmy się jeszcze z przedrukiem na t. zw. znaczkach koronacyjnych.

Gdyby stworzono Światowy Związek filatelistów i gdyby ogłosił on swe dezyderaty podając jakie znaczki w jakim nakładzie mają być wydawane, aby zbieracze nie byli narażeni na wyzysk, wówczas mogliby oni zbierać „cały świat". Ale obecnie nie możemy nadążyć w uzyskiwaniu marek państw Środkowej Europy, gdy przecież i Japonja czy U. S. A. wydają nowości naprawdę wspaniałe. Najwyższa wartość małej serji z 4 sztuk za 10 sen — to przecież śliczny widoczek, mający w sobie, nietylko dla młodocianego zbieracza, dużo egzotycznego uroku! Któż z nas filatelistów nie wie, że wulkan ten to święta góra Japonji Fudżi-Yama?

W przyszłym numerze omówimy 3 znaczki Finlandji na Czerwony Krzyż, Danję „z wiatrakiem" i ostatnią serję Iranu.

W H.

Walne zgromadzenie Krakowskiego Związku Filatelistów odbyło się 18 bm. przy b. licznym udziale członków. Sprawozdanie zarządu stwierdziło bardzo poważny wzrost aktywności klubu i zwiększenie się zainteresowania filatelistyką wśród najszerszych warstw społeczeństwa. Dotychczasowy zarząd w składzie: prezes dyr. Tislowitz, v-prezes prof. Korbel, sekretarz prof. Mikstein, skarbnik p. Brożek został wybrany ponownie. Honorowym członkiem Klubu mianowano pułkownika armji angielskiej Larkinga, który położył wielkie zasługi dla polskiej filatelistyki, o czem pomówimy przy najbliższej sposobności.

Firmie J. Witkowski w Poznaniu, która z okazji dziesięciolecia istnienia wydała jubileuszowy numer „Wiadomości Filatelistycznych", składamy gratulacje i serdeczne życzenia dalszego rozwoju.

Odpowiedzi redakcji.

P. Tadeusz Kwiatkowski — Łaziska Średnie. Sprawa rozszerzenia „Kącika" jest na najlepszej drodze. Dziękujemy za tak pochlebne wyrazy i przyznajemy Panu w zupełności rację, że otrzymywanie wiadomości o najnowszych wydaniach ma dla zbieraczy zasadnicze znaczenie.

P. „A. Z." — Czortków. Znaczki, które Pan wymienia, należą do pospolitych, zwłaszcza czerwone z literami w 4 rogach. Natomiast niebieskie z gwiazdkami w górnych rogach notuje Michel conajmniej po 2,75, jest tu jednak tak wielka rozmaitość znaczków wodnych, ząbkowań itp., że musi się Pan zorjentować sam na podstawie cennika.



WZGÓRZE BRACI

JERZY JESZKE ✶ NOWELA



Dopiero z nastaniem mroku ucichły odgłosy morderczej kanonady.

Tego dnia wzgórze 383 przechodziło kilkakrotnie z rąk do rąk.

Już wczesnym ranem zaterkotały karabiny — szczekające jamniki, a w ślad za nimi odezwały się wściekłe brytany — armaty.

Wzgórze zadymiło od wybuchów. Tryskały gejzery wyrzucanej z ogromną siłą ziemi zmieszanej z strzępami dartych w pasji zasieków i ochłapami ludzkich ciał. Ogłuszający huk wzmagał sę i narastał z każdą chwilą. Wzgórze 383 dygotało wstrząsane febrą huraganowego ognia, nakryte burą, kłębiastą czają dymu.

W schronach i okopach wyrywani siłą eksplozji, dziesiątkowani, zczerniali i ogłuchli trwali przywarci do ziemi, wrośnięci w nią ludzie.

Obsługi przy karabinach maszynowych uzupełniano co kilkanaście minut. W rowach strzeleckich umocnionych nocą, tworzyły się wciąż nowe wyrwy i leje.

W jednym ze schronów prawego skrzydła panowała złowróżbna cisza. Z trzydziestu ludzi załogi zostało zaledwie jedenastu. Raz wraz wyrywał kogoś rozkaz z bezpiecznego miejsca. Trzeba było uzupełniać luki pośród zabitych i rannych w okopach.

— Następny! — zapowiadał co pewien czas zimny, stalowy rozkaz.

Zwierzęcy lęk przed śmiercią ogarniał z każdą chwilą pozostałych. Byli to przeważnie młodzi chłopcy, ale stwardniali już i zaprawieni w niejednej bitwie. Teraz dopiero uświadomili sobie zupełnie wyraźnie, że wzgórze 383 wraz z nimi skazane jest na zniszczenie.

— Nie utrzymamy się — odezwał się ktoś suchemi wargami. W głosie czuć było nutę całkowitej rezygnacji.

— Ale siedzieć musimy do ostatka — mówił wspaniałej budowy wyrostek oparty łokciem o skrzynie z amunicją.

— Aż nas wszystkich pokolei wołają i położą — dorzucił inny. Tak jak w szkole, według alfabetu.

W schronie zapanowała znowu cisza przerywana tylko głuchym odgłosem wystrzałów.

— Następny! — rozległ się po chwili głos wstrząsający zebranych do szpiku kości. To obserwator stojący u wylotu schronu przywoływał na opuszczone stanowiska.

— No, teraz na ciebie kolej, Cochet — mówił jakiś zachrypły głos.

— Nie potrzebujesz mi przypominać alfabetu! Wyrostek oparty przed chwilą o skrzynie z amunicją, garbiąc się wychodził ze schronu. Jego piękna rasowa twarz mignęła na krótko w świetle wylotu.

Punktualnie o godzinie 9-tej rano ruszyły do natarcia wspomagane artylerją tyraljery.

Wzgórze 383 odpowiedziało na atak urywanym jazgotem karabinów.

Małe, czarne figurki ludzi posuwały się wgórę, odrywając się na krótko od ziemi.

Wkrótce umilkły działa i wśród okrzyku szturmujących i w walce wręcz, wzgórze zostało zdobyte.

I znów rozpętało się piekło huraganowego ognia, zasypując ziemią i żelazem tych, co przed chwilą zajęli miejsca swoich poprzedników.

Z przeciwnej strony stoku ruszyły zkolei inne, małe figurki. Na samym szczycie doszło do walki na bagnety, zęby i pięści.

I tak, w ciągu dnia, wzgórze 383 zmieniało co kilka godzin swoich obrońców. Rozkazy z jednej i drugiej strony mówiły to samo i podkreślały z naciskiem: za wszelką cenę opanować! W rezultacie wzgórze 383, zasłane było gęstym trupem. Stan bitwy wyrażał się tylko wysoką cyfrą poległych z „tej“ i „tamtej“ strony, leżących teraz zgodnie jeden obok drugiego. Komunikaty obu stron walczących mówiły to samo. — Wzgórze zostało opanowane.

Mrok — czarny rozjemca, położył wreszcie kres całodziennym zmaganiom. Z przedpola dolatywały jęki rannych i widać było sylwetki krzątających się tu i ówdzie ludzi. Byli to sanitarjusze. Oburącz, na noszach zbierali obfity plon. Schodzili nie spiesząc się ze wzgórza, schylali się ku ziemi i obarczeni ciężarem wracali w stronę okopów. Rowami łącznikowemi płynęły te drgające strzępy ludzkie do czekających na szosie wozów i ambulansów. Po wyboistej, zrytej przez pociski drodze, przelewały się długie korowody ku miastu, znacząc swoje ślady skrzepami krwi i przeciągłym, sięgającym gwiazd jękiem.

Rannych ze wzgórza 383 przydzielono do szpitala szwedzkiej misji sanitarnej. Był to olbrzymi gmach nowoczesnego gimnazjum, przystosowany na prędce dla celów wojennych. Na miejsce ławek stanęły rzędy łóżek.

Pokój, gdzie jeszcze przed kilku miesiącami odbywały się nauczycielskie konferencje, zamieniony został na salę operacyjną. W pośpiechu dokonywano reszty zmian i poprawek. Nocą przybył właśnie pierwszy transport rannych. Z wozów stojących dłu-

W Y Z N A N I E...
BINNIE BARNES, GWIAZDA AMERYKAŃSKIEGO FILMU

gim sznurkiem, wynoszono zmasakrowane kadłuby żołnierzy przy akompaniamencie nieustających pojęków. Czyste dotąd posadzki pokryły się świeżemi plamami krwi. Ciężko rannych, opatrzonych prowizorycznie w szpitalach przyfrontowych wnoszono wprost na stoły operacyjne. Przed dawną salą konferencyjną w korytarzu leżały na noszach, czekając swojej kolei, dziwnie zniekształcone ciała o wykrzywionych bólem twarzach i gorączką śmierci pałających źrenicach.

Panie z misji sanitarnej, nieprzyzwyczajone do tego widoku, mdlały. Lekarze i chirurdzy, pamiętający wojnę światową i jej okropności, wzdrygali się mimwoli. Czegoś podobnego nie widziało się nawet pod Verdun. Uderzała przedewszystkiem wielka ilość rannych z „tamtej" strony.

— Istny groch z kapustą — mówił jakiś chirurg, wycierając spocone czoło. Gdzieżto oni narobili tego bigosu?

— Wzgórze 383 — odpowiedziała, podając narzędzia asystentka.

— Następny!..

Asystentka nakłada maskę z eterem. Palce jej lekko drżały.

Lekarz badał tętno. Twarz jego niezwykle plastyczna mieniła się z każdą chwilą.

— Zdjąć narkozę — powiedział szorstko! To już czwarty, który skończył przed operacją.

Do sali wniesiono nową ofiarę. Z korytarza dolatywały przytłumione skargi. Nerwy całego personalu napięte były do ostatnich granic. W szpitalu brakło już miejsca. Służba traciła głowy. Jedna z młodszych sanitarjuszek dostała histerji. Jej krzyk ostry rozdzierający zagłuszył wszystkie inne.

— Następny!

Chirurg o plastycznej twarzy palił nerwowo papierosa. Przed nim na stole leżał wspaniale zbudowany młodzieniec. Głowa doskonale osadzona o delikatnym rysunku, oliwkowa, lśniąca skóra, bajecznie umięśnione ciało. Prawa noga przykryta lekką gazą.

— Oto typowy przedstawiciel swej rasy...

— Ten nie ma napewno siedemnastu lat. — Chirurg nie mógł się powstrzymać od wypowiedzenia tych słów.

Po operacji zakończonej amputowaniem nogi, lekarz dłużej niż zwykle wpatrywał się w zastygłe rysy rannego.

— Jeśli się zbudzi, będzie żył — pomyłał. Organizm niezwykle silny. Szkoda tylko tej idealnie ukształtowanej nogi.

W tym momencie zaszedł niezwykle ciekawy wypadek. Podczas gdy wnoszono następnego rannego, chirurg rzucił okiem i nie panując już zupełnie nad sobą, krzyknął do sanitarjuszy:

— Co mi go tu po raz drugi przynosicie? Przecież przed chwilą amputowałem mu nogę.

— To niemożliwe — usiłują mu wytłumaczyć obecni. Ten człowiek ma strzaskaną rękę.

— Proszę nie urządzać sobie żartów — mówi, przyglądając się uważniej twarzy rannego. Rękę dałbym sobie uciąć, że to ten sam młody człowiek, który przed chwilą...

— Rzeczywiście! Uderzające podobieństwo — dodaje stojąca obok siostra. Ale... szkoda pańskiej ręki, doktorze. Przyda się.

Po dokonaniu operacji i zbadaniu kart obu rannych, stwierdzono, że byli to dwaj bracia — bliźnięta: Antonio i Bartolomeo Cochet. Umieszczono ich na wspólnej sali obok siebie.

Kiedy pierwszy z nich, Bartolomeo, odzyskał przytomność, jego duże, czarne, przygaszone cierpieniem oczy objęły salę zdziwionem spojrzeniem. A więc ta wojna to sen tylko? Tak. Poznaje dokładnie jasne ściany swojej szkoły... Ale dlaczego leży wpatrzony w blask lampy jaśniejącej u sufitu? I czemu głowa ciąży mu tak ogromnie... i ten cierpki posmak oblepia mu usta?

Ach! i ten ból dziki, piekący!...

...A może umarłem? — myśli dalej chłopiec...

A może żyję i przed śmiercią odesłano mnie do szkoły. Nie, nie mogę umrzeć! Co będzie z moją maturą?

...Ale poco te łóżka zamiast ławek?... Co to za okropna szkoła? Nie, nie chcę takiej szkoły!

Chłopiec próbuje dźwignąć się ze swego posłania, lecz czuje się jakby uwięzionym, przykutym do łóżka. Jednym ruchem ręki zrywa z siebie pościel i wówczas... okrutna prawda. Ten owinięty bandażami kikut, to resztki jego nogi. Sala w której się znajduje — to szpital — a leżący obok to ranni.

Chłopiec przygląda się lepiej temu z prawej i znów w jego głowie powstaje chaos i zamęt.

Przecież obok z prawej strony leży Antonio. Nikt inny tylko on — rodzony brat. Jakże się to dzieje? Antonio walczył po „tamtej stronie" i skąd teraz?... Nie! to znów jakiś sen przykry i męczący. Chłopiec wpatruje się długo w dobrze mu znane rysy, lecz obraz nie znika.

— Antonio — wyszeptał, kiedy tamten otworzył oczy.

— Bartolomeo — odezwał się zagadnięty tym samym głosem!

Bracia spoglądali na siebie w milczeniu. Myśli ich plątały się i gubiły. Obaj nie mogli sobie uprzytomnić, w jaki sposób znaleźli się tutaj razem. Chwilami sądzili, że spotkali się po śmierci w innym, piękniejszym świecie, ale ból fizyczny zmuszał ich mózgi do wytężonej pracy.

— Straciłem rękę — mówił wolno Antonio. Wojna zapewne nie skończyła się jeszcze. Gdzie jesteśmy? Nie wiesz?

Brat Bartolomeo milczał przez dłuższą chwilę. Zapatrzony w biały sufit usiłował jakoby czytać coś w pamięci.

— Przypatrz się dobrze tej sali, mój bracie! Poznajesz? To nasza szkolna sala... Tylko zamiast ławek, łóżka. Nie słyszysz tutaj radosnego rozgwaru, tylko jęki rannych. Jest to szkoła cierpienia... A wojna...? dla nas już niema wojny...

— O, tak — powtarzał za nim, sennym głosem Antonio. Skończyła się... Wszstko się skończyło na tem przeklętem wzgórzu.

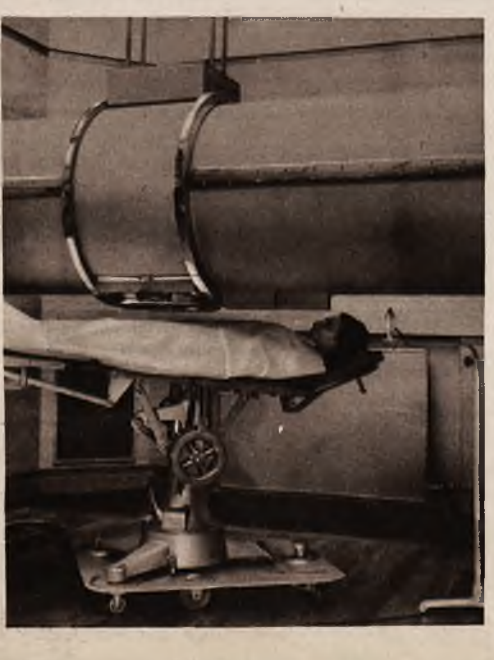
Bartolomeo poruszył się nagle tknięty złem przeczuciem i syknął bólem w twarz brata.

— Wzgórze trzysta osiemdziesiąt trzy!

— A więc to tam spotkaliśmy się, mój bracie — zajęczał z głębi płuc Antonio — tam to skończyła się nasza młodość — tak skończyła się radość naszej wiedzy... Dobrze pamiętam...

Było to wzgórze trzysta osiemdziesiąt trzy.

CIEKAWE WIADOMOŚCI

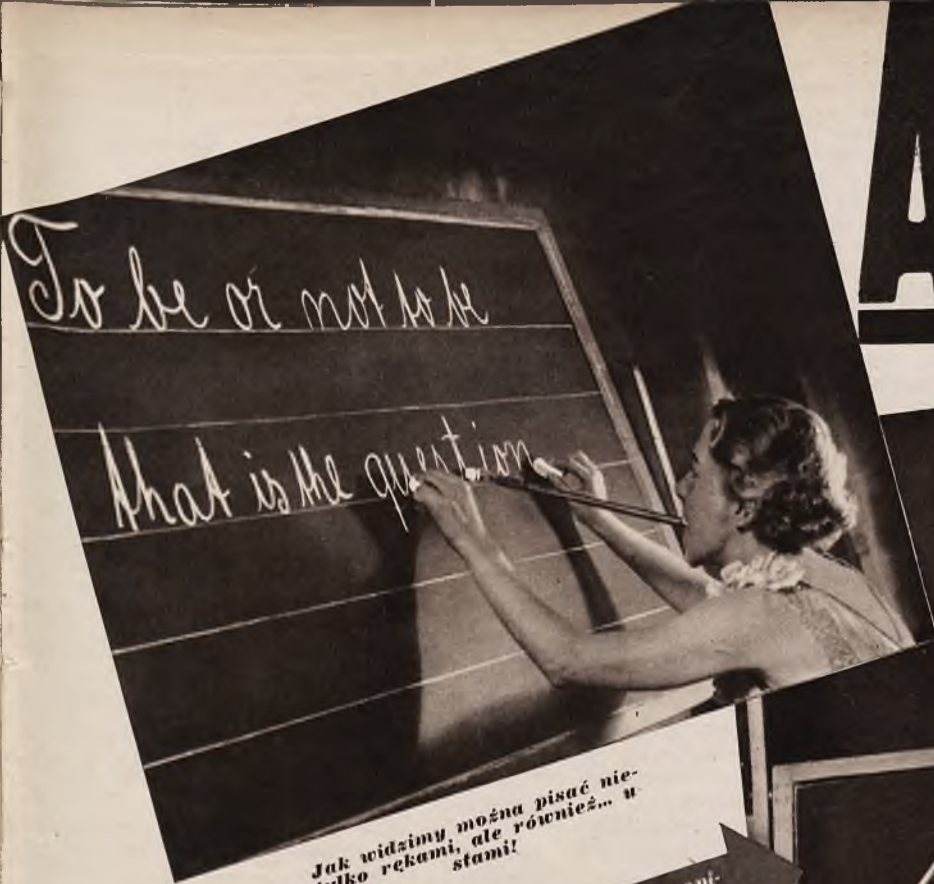


W londyńskim szpitalu św. Bartłomieja zainstalowano ostatnio aparat Roentgena, największy, jaki dotychczas zbudowano na świecie. Jest on przeznaczony wyłącznie do badań choroby raka i został skonstruowany przez jedną z firm w Manchesterze po 4-letnich eksperymentach. Koszt budowy wyniósł 30.000 funtów. Napięcie w aparacie dochodzi do miljona volt, a waży on 10 tonn.

Jak wiadomo z doniesień prasy, epidemja grypy ogarnęła świat cały. I stolica X Muzy — Hollywood — nie uchroniła się przed najazdem tej groźnej choroby, która w wielu wypadkach kończy się nawet śmiercią. Amerykańskie wytwórnie filmowe zaprowadziły przymus używania przez aktorów specjalnych masek. Mają one uchronić od zarażenia się pary amantów, które całują się przed objektywem.



AKROBATYKA MÓZGU



Jak widzimy można pisać nietylko rękami, ale również... ustami!



Jeden z najtrudniejszych popisów Thei Alby, polegający na pisaniu liczb dziesięcioma palcami.



Pisanie dwóch nazwisk równocześnie jest możliwem jedynie przy uniezależnieniu od siebie funkcji obu rąk.



Oto ideał sekretarki, piszącej... na „cztery ręce".

Jeżeli jest prawdą, że kobieta wszystko ujmuje w zupełnie swoisty i nieraz dla mężczyzn niezrozumiały i nielogiczny sposób, to fenomen, któremu na imię Thea Alba, byłby zjawiskiem zupełnie naturalnem. Bo czemże odznacza się ta dziwna kobieta o jasno-blond włosach? Oto umie pisać różne słowa, nietylko obiema rękami, ale też obiema nogami, i to równocześnie! W myśl aforyzmu, że nic bardziej nie zdoła oczernić kobiety, jak... atrament, pani Thea Alba dokonywuje swych ćwiczeń kaligraficznych... kredą, bielszą ponad śnieg.

Technika pisania Thei Alby, występującej na scenach music-hallów europejskich, jest naprawdę wyjątkowa, bo pisze ona, jak widzimy na naszych zdjęciach n. p. dwa słowa prawą i lewą ręką oraz ustami w ten sposób, że jedna litera nie następuje po drugiej, ale pisze je ona na wyrywki! Jeszcze bardziej „misternym" popisem jest pisanie dziesięcioma palcami naraz różnych cyfr, jak również pisanie dwóch nazwisk i to jednego „normalnie", drugiego zaś na wywrót! Ta olbrzymia wprawa w pisaniu „pismem lustrzanem" wymaga nietylko wielkiej zręczności czysto technicznej, ale nadewszystko specjalnej niejako komórki mózgowej, pozwalającej oddzielić funkcje poszczególnych członków ciała, działających tutaj samodzielnie, co, jak wiemy z własnego doświadczenia, jest sprzeczne z naszą naturą.

jm.

RENESANS FILMU WŁOSKIEGO

W okresie przedwojennym Włochy odgrywały w świecie filmowym tę rolę, jaką dziś przypadła Ameryce. Nakręcano tam wielkie filmy wystawowe, obrazy, które zdobywały szturmem ekrany wszystkich kin Europy i Ameryki. Przemysł filmowy Włoch był w pełnym rozkwicie. Takie „Quo vadis", zrealizowane z wielkim nakładem kosztów — było filmem rewelacyjnym w czasach, gdy produkcja amerykańska stawiała dopiero pierwsze kroki.

Szybki jednak rozwój przemysłu amerykańskiego — potem przejścia wojenne zahamowały produkcję europejską. Przemysł filmowy we Włoszech począł upadać. Na ekranach europejskich film włoski stawał się coraz rzadszym gościem.

Italja, Skandynawja, Hiszpanja, Polska stały się krajami produkującemi wyłącznie niemal dla wewnętrznego rynku. Jedynie obrazy niemieckie, francuskie, angielskie i amerykańskie zdobyły sobie obywatelstwo świata.

Włochy jednak mają wielkie ambicje filmowe. Przecież jest to jakby „ziemia obiecana filmu". Ziemia, którą dotychczas uprawiali obcy koloniści, urządzający „zajazdy" na przepiękną ziemię włoską. Ileż to ekspedycji niemieckich, francuskich, amerykańskich jechało do Włoch, by tam zabierać dla swych filmów piękno Italji?

I tak widzieliśmy Włochy jedynie przez szkła objektywów niewłoskich. Ba — często było jeszcze gorzej — dawano nam Włochy sztuczne, zrobione gdzieś pod niebem kalifornijskiem, Włochy źle, nieudolnie naśladowane. Nad kanalikiem w piasku kalifornijskim wzniesiono tekturowy pałac Dożów i kazano nam podziwiać piękno Wenecji.

Włosi patrzyli na to wszystko z oburzeniem. Widzieli na festivalach filmowych, odbywających się co dwa lata w Wenecji równocześnie z wystawą „biennale" filmy obce, którym trzeba było przyznawać nagrody. O kinematografji włoskiej mówiono jak o człowieku, który miał świetną przeszłość, piękne widoki na przyszłość — lecz przy braku silnego charakteru wykoleił się.

Bo czegóż brakowało filmowi włoskiemu? Miał słońce, które w niczem nie ustępowało słońcu kalifornijskiemu. Miał błękit nieba pogodnego, lazur Adrjatyku, miał krajobraz i widoki miast, które były natchnieniem największych malarzy. Miał zastęp artystów — i artystek, których twarze były jakby predestynowane do filmu. Rozrzuceni po świecie całym Włosi, zwłaszcza w obu Amerykach, mogli być świetnymi propagatorami filmu włoskiego zagranicą.

Mimo tych wspaniałych warunków — film włoski stał w miejscu.

Natomiast Włochy stały się kolonją obcych przemysłów filmowych.

Przyjechał tu Ludwik Trenker, by ukończyć swego „Cesarza Kalifornji". Był to wielki film amerykański, na tle dziejów „generała" Suttera, emigranta szwajcarskiego, który w roku 1840 odkrył złoto w Kalifornji...

Trenker przybył do Włoch, aby nakręcić sceny... pożaru San Francisco. Przybył wraz z trupą 60 aktorów z Berlina.

— Chcę wydać mało, a pracować w spokoju — Włochy są dla mnie idealnym krajem dla pracy filmowej.

I Trenker zbudował sobie we Włoszech swoje własne San Francisko, które następnie podpalił. Wypadło to taniej i lepiej niż w Ameryce.

Przyjechała do Włoch ekspedycja amerykańska pracująca dla pierwszego amerykańskiego filmu Kiepury „Daj mi tę noc", kręcąc obrazy na Capri i w Neapolu. (W Neapolu zaczęła się karjera filmowa Kiepury słabym zresztą filmowo obrazem „Neapol śpiewające miasto".)

Zjechali do Włoch Niemcy dla wykończenia swego filmu „Kobieta między dwoma światami". Tu też filmowano niemieckie obrazy „Talizman" i „Porwanie". Francuzi nakręcili tu film rzekomo włoski, „La gondolla delle chimere" z Marcelle Chantal, będący dziełem produkcji francuskiej.

We Włoszech więc filmowali Niemcy, Amerykanie, Francuzi. Brakło tylko Włochów.

Owa ekspansja obcych przemysłów filmowych na terenie włoskim była zdaje się bodźcem dla producentów włoskich.

Bo oto dowiadujemy się że następuje szybkie odrodzenie się kinematografji italskiej. Włochy wybrały drogę najwłaściwszą — tworzą wielki film historyczny.

Bo przedewszystkiem Włosi, a nie Amerykanie powołani są do tego, aby tworzyć filmy historyczne. Nie wystarczą miljony dolarów, rzuconych na wspaniałą wystawę. Trzeba umieć uchwycić ducha epoki, zorganizować sztab ludzi, umiejących się wczuć w atmosferę kraju i wieku, w jakim odbywa się akcja filmu.

Włochy mają i tło odpowiednie i odpowiedni zespół ludzi.

I oto niebawem ujrzymy gigantyczny film osnuty na tle wyprawy Hannibala. Obraz będzie nosił tytuł „Scypion afrykański" („Scipione l'Africano"). Jest to obraz, który będzie wielkiem dziełem propagandowem, dlatego też towarzystwu, które je nakręca pomagają wydatnie sfery rządowe.

Na czele produkcji stanął Carmine Gallone, któremu pomagać będzie Trenker.

Zdjęcia rozpoczęły się już. Film ukończony będzie w ciągu b. r. Z fotografij, jakie otrzymaliśmy widać wielki rozmach produkcji. Zbudowano galery, sfilmowano szarżę 80 słoni, rzucono do ataku kolumny 800 Nubijczyków, przebrano tysiąc statystów w ubiory żołnierzy rzymskich i kartagińskich.

Film ten obfituje w sceny, które wywierać będą potężne wrażenie. Oto armja Hannibala przechodzi przez Alpy, aby spaść jak sępy na ziemię italską, przed senatem rzymskim gromadzi się tłum, powitanie zwycięskiej flotylli galer rzymskich, powracających z Afryki, wreszcie bitwa pod Zamą.

Film ten będzie jakby jednym wielkim hymnem na cześć państwa rzymskiego, któremu waleczne legjony zakreśliły szerokie granice na trzech kontynentach. Filmowcy włoscy — ukazując powrót zwycięskich galer z Afryki — widzą powitanie okrętów, zawijających do portu neapolitańskiego przez wielotysięczne tłumy. Okręty z Afryki wschodniej... Poprzez wskrzeszenie triumfów oręża rzymskiego z przed tysiącleci — film włoski ukazuje Włochom perspektywy rozwoju imperjum rzymskiego To jest wymowa nowego filmu włoskiego. *Grot.*



POWRÓT ZWYCIĘSKICH GALER
Z włoskiego filmu „Scipio Africanus"



Współczesna rzeźba religijna

KAROL HUKAN



Karol Hukan w swojem atelier przy pracy.



Fragment rzeźby Hukana, zdobiącej ołtarz bł. Andrzeja Boboli.

W październikowym numerze z ub. r. „Marchołta" omówił w obszernym artykule M. Szukiewicz rzeźbiarską twórczość Karola Hukana. Dobrze się stało, że tego trudu podjął się właśnie Szukiewicz, bo do skreślenia twórczości Hukana przystąpił nietylko z całą erudycją i znajomością plastyki, ale z tym gorącym, jemu właściwym dla sztuki umiłowaniem. Widocznie przemówił do niego Hukan swojemi pracami silnie, skoro zapragnął zapoznać z nim bliżej społeczeństwo.

A mimo to odnosi się wrażenie, że Szukiewicz nie powiedział jeszcze wszystkiego.

Ażeby twórczość Hukana przeniknąć, zda się nie wystarczać sama tylko znajomość jego dzieł: konieczne jest bliższe z nim zetknięcie, a może nawet i obserwowanie go. Warunek ten jest zresztą prawie nieodzowny, gdy chodzi o współczesne a silne artystyczne indywidualności.

Hukan znalazł się w swoim żywiole dopiero wtenczas, kiedy komponował boczne ołtarze do kościoła OO. Jezuitów na Wesołej. Wszyscy, którzy kiedykolwiek o Hukanie pisali, zgadzają się w tem, że wtedy okazał Hukan najwięcej oryginalności, a talent jego wystąpił niemal w całej pełni. Z tego więc prosty wniosek, że najszerszem polem jego działalności to przedewszystkiem rzeźba religijna tak bardzo współcześnie (jak i wogóle cała plastyka religijna) zaniedbana. Hukan wiarę i religję przeżywa po chrześcijańsku i katolicku sam w sobie i to co przeżyje uwidacznia w rzeźbie.

Zpośród sześciu bocznych ołtarzy w kościele OO. Jezuitów szczególnie dwa większe uderzają oryginalnością kompozycji: ołtarz „św Józefa" i „Królowej Aniołów". Zdania co do wartości tych dwóch kompozycyj są podzielone. Zdaje mi się jednak, na co i sam Hukan zapewne się zgodzi, że „Królowa Aniołów" jest najlepszym wyrazem jego zamierzeń i myśli.

W czasie tworzenia ołtarz ten pod wpływem czynników stojących poza artystą uległ zmianie. Pierwotnie Królowa Aniołów była przedstawiona bez korony, a więc był tu uwidoczniony moment raczej Jej koronacji, kiedy aniołowie w radosnem upojeniu a równocześnie kornym hołdzie koronę Jej wręczają. Ten właśnie moment uzasadniał całe ugrupowanie usprawiedliwiał żywość i radosny ruch wśród aniołów.

Wskutek zmiany koncepcji wielu obserwatorów popadło w pewną stronniczość twierdząc, że Hukan w rzeźbie reprezentuje kierunek barokowy. A tymczasem tak nie jest, bo właśnie ten ołtarz może posłużyć jako dowód, że Hukan wyszedł daleko poza barok. Pozory baroku istnieją tylko w linjach, ale w całości jest myśl i idea, której zazwyczaj w baroku, jako czynniku dekorotywnym dopatrzeć się trudno. Świadczą także o tem i postacie aniołów, które u Hukana mają coś w sobie z symbolu wyrażającego zespolenie wszystkich idealnych pierwiastków duchowych. Pozorny więc ten barok stał się dla Hukana środkiem artystycznym do wyrażenia pełni życia i radości.

Ołtarz ten pod względem kompozycji pokrewny jest dwom innym projektom: „Chrystus w Ogrójcu" i „Matka Boska-Zwycięska", a te dwa jeszcze bardziej odbiegają od baroka.

Hukana pod względem formy możnaby nazwać eklektykiem. O ile jakąś formę uzna za dobrą i wystarczającą do wyrażenia jego myśli, nie zawaha się jej użyć. Stąd też pochodzi, że kompozycja „Wieczerza Pańska" na pierwszy rzut oka ma coś w sobie z renesansu i przypomina „Ostatnią Wieczerzę" Leonarda da Vinci. A jednak jak bardzo te dwie kompozycje, pozornie podobne, różnią się od siebie! Leonardo da Vinci przedstawia ten moment zalęknienia, kiedy Chrystus mówi: „jeden z was mnie zdradzi". Apostołowie w kompozycji Hukana to nie zalęknieni zdradą uczniowie, ale jakby rycerze, zgromadzeni przy wspólnym stole, od którego za chwilę wstaną, aby pójść w świat walczyć i cierpieć za ideę Chrystusową.

Ten sam ołtarz „Królowej aniołów" jest równocześnie niemałym dowodem, że Hukan nie zasklepia się tylko i wyłącznie w rzeźbie religijnej. „Królowa aniołów" dlatego jest pełną uczuć i myśli, że jest bliską narodowi i bliską wypadkom, które na naród nasz rzuciły nowe blaski sławy. Geneza tego ołtarza jak i Matki Boskiej Zwycięskiej pozostaje w pewnym przyczynowym związku ze zbrojnym czynem w początkach naszej niepodległości, czynem tak podobnym do tych dawnych związanych z naszą rolą przedmurza Chrześcijaństwa. W twórczości Hukana dziwnie zespalają się pierwiastki religijne z narodowemi. Młodzieńcze porywy poetyckie Mickiewicza odzwierciedli Hukan w jakiejś jakby personifikacji „Ody do młodości". Tu znowu pozornie szkic ten przypomina pomnik wieszcza w Paryżu dłuta Bourdela. Ale tylko pozornie, bo tam Mickiewicz pielgrzymuje ku Ojczyźnie, a tu brak mu chyba tylko skrzydeł, by się unieść ponad świat. Hukan nie pozostanie głuchy na twórczość Chopina, a obok tego ma odczucie i zrozumienie dla polskiego miłosierdzia, reprezentowanego przez Brata Alberta-Chmielowskiego.

W tem głębokiem umiłowaniu Ojczyzny i poczuciu narodowem przebija jeszcze inny pierwiastek temu pokrewny — to umiłowanie Krakowa. Tak umiłować Kraków mogą tylko ci, którzy doń przybywają z rubieży, a przybywają jako do „centrum Polszczyzny", gdzie się człowiek ‚napije, nadysze ojczyzny [1]". W umiłowaniu Krakowa mają źródło liczne projekty studzień z Witem Stwoszem lub Kleparzanką z legen-



Grupa, przedstawiająca N. Marję Pannę w otoczeniu aniołów, dłóta Hukana, w kościele OO. Jezuitów w Krakowie.

dy o św. Janie Kantym. W umiłowaniu Wawelu projekt zaludnienia jego stoków kamiennymi rycerzami. Nie brak też i dzieł skończonych, jak oryginalne dwie grupy, zdobiące Bank Polski.

Jakkolwiek zakres działania Hukana to kompozycja przecież jednak nie brak u niego prac z dziedziny portretowej. I tu może się poszczycić Hukan pięknym dorobkiem pamiątkowych tablic i popiersi. Traktuje je Hukan tylko jako studja i tem się tłumaczy, że twarze i głowy bez jakiegoś charakterystycznego wyrazu stają się u niego martwe i nie dają z siebie nic poza przeciętnym, portretowym podobieństwem.

Zarówno talent, jak i twórczość Hukana są niecodzienne, mają swój odrębny charakter i nazwisko jego można umieścić obok nazwisk tak zasłużonych rzeźbiarzy — jak Laszczka i Dunikowski.

Tadeusz Rawicz-Rojek.

[1]) Karol Hukan urodził się w Mikulińcach na Pokuciu.

Na fotce: *1. Gałązka z szczelinami, stanowiącemi wejście do „gniazda". 2. W przecięciu gałązki widzimy jajeczka piewika.*



Na lewo: Jeden z największych gatunków piewika, czyli cykady indomalajskiej, „Pomponia imperatoria".



17 lat pod ziemią

Zpośród rojnego świata owadów nieliczne tylko są takie, których potomstwo wylęgłe z jajeczek odrazu przypomina swym wyglądem postacie rodzicielskie, różniąc się od nich jedynie wielkością lub drobnymi szczegółami w budowie. Znaczna większość owadów ulega przeobrażeniu, t. j. przechodzi cały cykl przemian, zanim osiągnie postać owada doskonałego. Z jajeczka wylęga się najpierw gąsienica. Jest ona wielkim żarłokiem, Nic dziwnego, że zjada tak wiele, ponieważ w stanie nieruchomej poczwarki, na którą się zkolei zmienia, nie pobiera wcale pożywienia, a wtenczas właśnie dokonuje się w niej cudowna przemiany na doskonałego owada i tworzą się wszystkie części jego ciała. Z niepozornych przeważnie gąsienic, budzących częstokroć nawet odrazę, wylatują po przepoczwarczeniu się piękne niekiedy owady, które cieszą oczy i budzą zachwyt swemi kształtami i barwą.

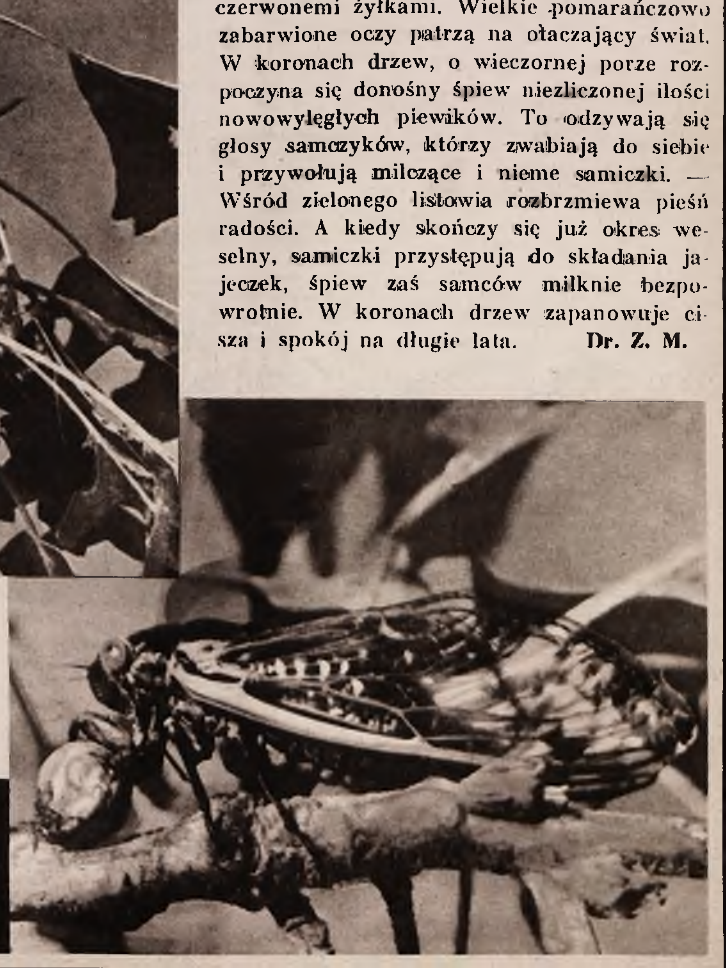
Od chwili wylęgnięcia się małej gąsieniczki z jajeczka aż do osiągnięcia dojrzałej postaci upływa stosunkowo niewiele czasu. Przemiany trwają najdłużej kilka lub kilkanaście miesięcy. Znane jednak dobrze każdemu chrabąszcze majowe, wielkie szkodniki naszych drzew i krzewów, dla osiągnięcia zupełnej dojrzałości potrzebują czterech lat. Dlatego też klęski zagrażającej ze strony tych owadów można się spodziewać po upływie czterech lat od chwili ostatniego ich masowego pojawu.

Niezwykłym zaś wydaje się fakt przeobrażenia i bytowania w stadjum gąsienicy podzwrotnikowego piewika, egzotycznego pluskwiaka „Tibicina septemdecim". Owad ten pojawiający się w dużych ilościach w lasach wschodnich Stanów Zjednoczonych, zadziwia swym trybem życia. Od złożenia bowiem jajeczek do wylęgnięcia się owada doskonałego upływa aż 17 lat.

Samiczki, które posiadają silne pokładełko, rozszczepiają niem gałązki drzew. Nacięć takich leżących jedno obok drugiego na jednej gałązce znajduje się kilkanaście. Szczelinki prowadzą do gniazdka, w którem samiczka składa jajeczka w dwóch rzędach w liczbie 24—28. Składanie jajeczek odbywa się w czerwcu. Pod koniec zaś lipca wychodzą z nich gąsieniczki, które wyglądem swym przypominają nieco mrówki. Przednia para ich nóżek jest rozpłaszczona i przystosowana do grzebania w ziemi. Gąsieniczki schodzą na ziemię i zagrzebują się w niej, pozostając w komorach mieszkalnych przez kilkanaście lat, z małemi przerwami, kiedy wychodzą na światło dzienne, aby zażyć słonecznej kąpieli. Żywią się one soczystemi korzonkami różnorodnych roślin, a pod ziemią spędzają niemal całe swe życie. Tuż przed przepoczwarczeniem się opuszczają swe dotychczasowe podziemne mieszkanie i wywędrowują na pobliskie drzewa, gdzie dokonuje się ich metamorfoza w piękne, doskonałe owady. Z niepozornych i brzydkich gąsienic powstają okazałe piewiki o dużych przeźroczystych skrzydłach, u nasady bursztynowożółtych, czerwono obrzeżonych z licznemi czerwonemi żyłkami. Wielkie pomarańczowo zabarwione oczy patrzą na otaczający świat. W koronach drzew, o wieczornej porze rozpoczyna się donośny śpiew niezliczonej ilości nowowylęgłych piewików. To odzywają się głosy samczyków, którzy zwabiają do siebie i przywołują milczące i nieme samiczki. — Wśród zielonego listowia rozbrzmiewa pieśń radości. A kiedy skończy się już okres weselny, samiczki przystępują do składania jajeczek, śpiew zaś samców milknie bezpowrotnie. W koronach drzew zapanowuje cisza i spokój na długie lata. **Dr. Z. M.**



Co dopiero wylęgłe piewiki na gałązce drzewa, pomiędzy dwoma wykształconemi już owadami (u góry i u dołu).



Na prawo: Piewik amerykański, „Tibicen septemdecim", dochodzi do wielkości 4 cm, przyczem rozpiętość jego skrzydeł bywa dwa razy większa.

WIELKA NIEWIADOMA

Znany jest stary dowcip, że powodem nieszczęścia pewnego pechowca był właściwie mały piesek, który uciekł swej młodej, pięknej właścicielce. Schwytawszy uciekiniera, młody pechowiec poznał uroczą pannę i wkrótce stał się jej mężem. Chociaż rozumowanie to wygląda nieco humorystycznie, to jednak wziąwszy pod uwagę technikę życia, nie jest ono bynajmniej przesadzone. Bo czyż całe nasze życie nie składa się z licznych przypadków, nieraz drobnych w założeniu, a jakże groźnych w następstwach! Nie chcę tu mówić o przysłowiowym przypadku z loterją lub ruletką w Monte Carlo czy Sopotach, ale ileż innych zbiegów okoliczności i niewiadomych czeka na nas na każdym kroku! Już niemowlę w kołysce stanowi tą wielką niewiadomą dla rodziców, otoczenia, ba, czasem dla całego świata. Bo któż może wiedzieć czy ten „projekt na człowieka" nie będzie w przyszłości jakimś Mussolinim czy Kopernikiem? Przecież i Napoleon przechodził przez tę pierwszą fazę życia niczem nie zdradzając swej przyszłości. A rolnik, rzucający ziarno w ziemię, czyż nie zadaje sobie pytania, czy wzejdzie ono lub też zmarnieje w pierwszych czasach swego kiełkowania? I tak wszędzie, ciągle i zawsze! Otoczeni jesteśmy „niewiadomemi" i budujemy sobie przyszłość raczej na przypuszczeniach, niż pewnych danych. Ale, przyznajmy na pociechę, że właśnie to stanowi o barwności naszego życia, które staje się przez to mniej monotonne, bardziej emocjonujące — niczem sensacyjna powieść, czy film detektywistyczny.

jot.



Od biegu białej kulki zależy szczęście lub klęska setek ludzi.



Przypadkowe spotkanie może spowodować liczne komplikacje życiowe.







Powyżej: Kawałek papieru, który może zmienić przyszłość człowieka. Na prawo: A oto koło, z którego wychodzą miljony, lub też... rozczarowanie. Poniżej: Plastyczny obraz „możliwości", jakie czekają na gracza loteryjnego.



Oto pierwszy akt wspólnego życia. Jak będą wyglądać dalsze?



Od egzaminu kształtów zależy przyszła karjera kandydatki na girlsę music-hall'u.



Snu niemowlęcia nie zakłóca jego przyszłość, która jest największą z niewiadomych.

Na prawo: „Czy wzejdzie?" to główna myśl, która towarzyszy rolnikowi przy sianiu zboża.



Od piśmiennego egzaminu zależy, czy kandydaci otrzymają pożądane posady.



NA »KAZIUKU«



Kościół św. Jakóba i Plac Łukiski w Wilnie.



Na prawo: Liczne kramy z zabawkami dla dzieci stanowią jedną z atrakcyj „Kaziuka".

Dzień 4 marca obchodzony — jest od lat dawnych najbardziej uroczyście na całej Wileńszczyźnie. Jest to bowiem święto Patrona Litwy i młodzieży, św. Kazimierza. W królewskiej kaplicy Bazyliki Wileńskiej spoczywają w srebrnej trumience relikwje świętego Królewicza. Tu brały przed laty początek wszystkie uroczystości w dniu Jego imienia. Obecnie spowodu restauracji Bazyliki rozpoczynają się uroczystości doroczne nabożeństwem w kościele Jego nazwy przy ul. Wielkiej. Tradycyjnym zwyczajem odbywały się od dawnych lat, począwszy od roku 1604, kiedy Królewicza zaliczono w poczet świętych polskich, festyny-kiermasze. Ich miejscem pierwotnem był plac Katedralny obok Bazyliki. Gdy jednak rząd zaborczy wzniósł na placu tym w r. 1900 pomnik Katarzyny, zabroniono dalszych kiermaszów i z konieczności przeniesiono je na plac Łukiski, przy ul. Mickiewicza.

Dążymy i my z tłumem niezliczonym „tutejszych" i wielu przyjezdnych z całej Polski na plac Łukiski czyli poprostu Łukiszki zwanym. Spokojne tak zwykle Wilno zmieniło się do niepoznania i staje formalnie na głowie. Na wszystkich ulicach panuje, mimo porannych godzin i przejmującego zimna marcowego, ożywiony ruch. Wszystko dąży w jednym, określonym kierunku. Spotykamy po drodze wspaniały orszak, któremu przewodzi postać św. Kazimierza. Mnóstwo platform z symbolami przemysłu ludowego posuwa się za czołem pochodu w kierunku Łukiszek. Zorganizował go przy współudziale wojska Zw. Propagandy Turystyki po raz pierwszy w ub. roku. Najpiękniejszy wóz, to wóz z kolorowych, charakterystycznych palm wileńskich i serduszek „kaziukowych". Królewicza Kazimierza otaczali heroldowie, trębacz i brodata szlachta, wszyscy konno. Orszak ten wśród niesłychanej wrzawy i wesołości przybywa wreszcie na Łukiszki, gdzie Królewicz ogłasza uroczyście otwarcie „Kaziuka".

Na samym wstępie wita nas jakiś magik, sprzedający beczułki tekturowe, wydające za pociągnięciem sznurka głos gdakającej kury. „Tanno, tanno", zachwala swój towar. Kupujemy za 10 gr. taki niepotrzebny drobiazg. Za pierwszem już pociągnięciem urywa się sznurek i nasza sztuczna kura już nie gdacze. Znów zagradza nam drogę sprzedawca baloników różnych kształtów: „Balony, baloneczki, dla syna, dla córeczki", brzmi jego stała piosenka. Dążymy dalej do dżungli straganów. Na samym przedzie znajdują się stragany z zabawkami, wśród których przeważają zabawki drewniane, które nabyć można rzeczywiście za bezcen. Najbardziej pokupnym towarem, to piszczałki gliniane w kształcie kogutów, koni, gołębi, na których dziatwa przeraźliwie i z przejęciem śwista. Mijamy stragany głuchoniemych, którzy sprzedają artystycznie rzeźbione z drzewa przedmioty: pudełka, laski zakopiańskie, albumy, słowem pamiątki takie, które można nabyć w Zakopanem. Brakuje na nich tylko tego napisu, jednakże za maleńką dopłatą można i to uskutecznić. Obok bud z różnemi figurkami gipsowemi, wśród których nie braknie Marszałka, Napoleona i niedźwiedzia smorgońskiego, obok sklepiku harcerzy, wśród tysięcznego rozbawionego, falującego tłumu przybywamy ulicą straganów do centrum kiermaszu.

To, co bowiem nadaje właściwe znamię kiermaszowi kaziukowemu, to drewniane wyroby przemysłu ludowego. Najróżnorodniejsze przedmioty, wyprodukowane przez wieśniaków wszystkich zakątków Wileńszczyzny podczas długich miesięcy zimowych można tu nabyć nadzwyczaj tanio. Przedmioty te mają swój popyt ze względu na ich praktyczność i potrzebę w gospodarstwie domowem. Kupują je detalicznie i hurtownie.

— Paniusia, może baleja! — zaprasza tęga wieśniaczka, siedząc przy górze różnych balij, beczułek, beczek, fasek, ceberków. Obok większych przedmiotów mamy przedmioty mniejsze z drzewa jak łyżki, wałki, stolnice, taborety, dalej sita aż zpod Lidy itd. Często uda się szczęśliwcowi wyłowić prawdziwe okazy sztuki ludowej, jak rzeźbione artystycznie kije, pudełka na tytoń i papierośnice z czeczotki. Obok wyrobów drewnianych widzimy wyroby z łozy i leszczyny: najróżnorodniejsze kosze do bielizny, podróży, targowe, meble ogrodowe i maleńkie koszyki z kolorowych wiorów, za któremi przepadają maleńkie dziewczynki.

Całe place zastawione są garnczkami różnych kształtów, i wielkości, wśród których znajdują się olbrzymie misy i doniczki oraz „malenieczkie" dzbanuszki i miseczki ślicznie polewane dla naszych milusińskich. — Lichtarze dwu- i trójramienne, podstawki, zachwalają sprzedawcy w dowcipny i ujmujący sposób.

O kilkadziesiąt kroków dalej mamy dział tkactwa ludowego. W niezliczonych wozach lub saniach uszeregowanych zachwalają wieśniaczki swe rzeczywiście piękne skarby, tkane pracowitą dłonią podczas długich wieczorów zimowych. Śliczne desenie zachwycają oko każdego, a przedewszystkiem przybyszów z innych stron Polski. Popyt na te artystyczne samodziały wileńskie wzmaga się z każdym rokiem i z każdym rokiem wieśniaczki, nauczone doświadczeniem przywożą coraz to piękniejsze i staranniej wykonane tkaniny. Są tu zwoje płócien cienkich i grubych, ręczniki z artystycznemi frendzlami i szlakami, wzorzyste samodzia-



W kole: Dymiący samowar nęci zmarzniętych przechodniów...

ły i kapy na łóżka o przewadze motywów geometrycznych oraz dywaniki. Wszystko to zachwyca nasze panie, które w tej dzielnicy kiermaszu najchętniej przebywają i nabywają mnóstwo tkanin.

Czyż można pomyśleć „Kaziuka" bez obwarzanków smorgońskich, czyż można opuścić całe to „wesołe miasteczko", nie zaopatrzywszy się w „bund" obwarzanków? Minęły już na szczęście raz na zawsze te czasy, gdy zachwalano gorące „bubliczki", dziś na „Kaziuku" zachwalają słodziutkie, waniljowe i migdałowe apetyczne obwarzanki, mieniące się w wiosennem słońcu złotym odcieniem.

— Obwarzaneczki, kupujcie obwarzaneczki smorgońskie! — słyszy się wszędzie i tęga obwarzankarka w białym fartuchu zachwala smaczny towar. Jakże nie kupić za kilkadziesiąt groszy tego najlepszego specjału kaziukowego, jakże nie czynić za przykładem innych i nie zawiesić sobie na guzik palta wianeczek tego pieczywa, chrupiąc z zadowolenia jedno kółeczko po drugiem! Nie wypada chodzić bez takich rzeczy w dzień św. Kazimierza.

Obwarzankarze przybywają tu ze Smorgoń, centrum tego wypieku i przywożą ze sobą całe wozy tych specjałów. Tygodniami przed „Kaziukiem" pracują smorgońskie piekarnie pełną parą, aby nagromadzić odpowiednie zapasy na kiermasz. Rzadko kiedy wracają z niesprzedanym towarem.

Obok obwarzanków jeszcze inny, słodki towar nęci kupujących. Są to serduszka „Kaziukowskie". Ten towar ma innych nabywców: zakochane pary, sztubaczki, studentów, młodzież akademicką a przedewszystkiem tak licznych na Wileńszczyźnie imienników św. Kazimierza. Czy można odmówić prośbie ukochanej i nie kupić jej serca „Kaziukowskiego", jako dowód przywiązania? Niekoniecznie trzeba zjeść to piernikowe lub miodowe serce, ozdobione różnokolorowym lukrem i różnemi napisami, często nieortograficznemi, wśród których przeważają napisy: dla Kazi, Kazimiera, ba, nawet dla Tangolity! Większe serca zapakuje usłużny sprzedawca serc do specjalnych kartoników i zabiera się je do domu, ozdabiając niemi ścianę swego mieszkania. Przynoszą one ponoć szczęście w miłości i są jakoby lubczykami dla zakochanych. Można je również komuś wysłać jako pamiątkę, najbardziej ciekawą z „Kaziuka". Przed straganem z sercami stoi pensjonareczka w towarzystwie młodzieńca i wybiera sobie, cokolwiek zaaferowana, jedno z najpiękniejszych serc.

Dobry interes robią różne babki z leczniczemi ziołami na „Kaziuku", aczkolwiek ich właściwy targ odbywa się w Wilnie na św. Jerzego. Sprzedają skostniałemi od zimna palcami za „jedne 10 groszy" różne serdeczniki, żywokosty, trojanki, derewianki, ziółwalerjanki i stalniki... U doświadczonych nawet można ponoć nabyć w wielkim sekrecie zielę niezawodnego lubczyka.

Inna babuleńka ofiarowuje nam barwne kwiaty, sporządzone artystycznie z bibułek kolorowych, wśród których najbardziej pokupne są charakterystyczne palmy wileńskie. Nie brakło również na „Kiermaszu" świnki morskiej, która przy dźwiękach katarynki za maleńką zapłatą wybiera liścik z nieomylną przepowiednią i fotografją przyszłego lub przyszłej. Dla spragnionych czekają baniaste, dymiące samowary z „czajem", dla muzykalnych trochę zgranych płyt gramofonowych, nie zabraknie również na „Kaziuku" straganów z książkami bardzo używanemi. Sprzedawcy tych zniszczonych powieści sensacyjnych mają liczną klientelę.

Wśród tłoku i wrzawy upływa nam szybko czas i słońce chyli się powoli ku zachodowi. Kiermasz ten jednakże potrwa kilka dni i nie kończy się z dniem dzisiejszym. Nazajutrz przybędą nowe stragany i nowe urozmaicenia. Wieśniacy ze swemi wyrobami, obwarzankarze robią niekiedy niezłe interesy, które pozwolą im przertwać ciężkie tygodnie przednówka.

Zw. Propagandy Turystyki stara się o to, aby uprzyjemnić przybyszom z innych stron Polski pobyt w Wilnie, pokazując im przedewszystkiem najciekawszy kiermasz ziemi Wileńskiej, a pozatem przygotowując dla nich szereg ciekawych atrakcyj.

Wilno i jego mieszkańcy, którzy podczas dni „Kaziukowych" zmienili swój zwykły, codzienny tryb życia, po trzech dniach rozbawienia i beztroski powracają znów do normalnego życia „tutejszego".

Alfons Wysocki (Smorgonie).



„Grona" baloników wabią dzieci...



A oto słynne serca „Kaziukowe", które u płci pięknej cieszą się dużem powodzeniem.

Poniżej: Całe nieomal Wilno spieszy na Plac Łukiski, by przyjrzeć się jarmarkowi i coś na nim kupić.



PÊLE-MÊLE.

Piękne damy w Honolulu mają toaletę ułatwioną — nie potrzebują wydawać pieniędzy na ołówki do ust. Rosną one same w tym raju na ziemi! Jest tam taki krzak, którego owoce zwisają jak winogrona, a ziarna można używać zamiast pomadki. Mój Boże — sukienka z liści — kosmetyka z drzewa — żyć nie umierać! Zresztą ołówki do ust w „sędziwym" wieku kilku tysięcy lat oglądać można w świeżo otwartem muzeum kosmetycznem w Liverpoolu Kobiety robią co mogą, by ładnie wyglądać. Należy się im wdzięczność dozgonna, bo gdyby nie ich urok to wieluż by szaleństw nie popełniano! N. p. jedyny, który przepłynął Niagarę (w gumowej kuli) i na przekór wszystkim żyje i... utrzymuje się z sprzedawania swych fotografij — zrobił to dla narzeczonej. Nie mogli się pobrać, bo z pieniędzmi było krucho — zaryzykował więc, a następnie pobrali się i gruchają sobie jak te gołąbki! A imię jego: Jean Lussier. — Powiada on, że jak płynął przez wodospad to myślał o niej! Jak widać pomogło...

O innym znów wypadku donoszą gazety: Słyszało się już o ślubach w łodzi podwodnej (był taki Amerykanin, który odbył i podróż poślubną w ten sposób), w aeroplanie, w wodzie, — ale pierwszy raz odbył się świeżo ślub przez radjo. — On koło San Francisco, ona daleko na północy, poznali się przypadkiem przez radjo. „Flirt" trwał dłuższy czas, aż ona zachorowała ciężko. Bojąc się, by nie było zapóźno, uprosili księdza W. Clarka, by im dał „radjowy" ślub. I popłynęły eterem sakramentalne „Franklinie czy chcesz..." i „Mabel czy chcesz...". — Po ślubie narzeczony, a właściwie już mąż, odczekał chwilę polepszenia zdrowia, wsiadł w aeroplan i po ślubie dopiero młodzi zobaczyli się po raz pierwszy — jeżeli nie będziemy liczyć uprzedniej wymiany fotografij.

Honolulu, San Francisco, Niagara, świat daleki nęcący egzotyką — zwiedzać miło, ale czyż można bez Baedeckera? Można, ale nie należy. — Poświęćmy i temu pionierowi turystyki słów kilkoro. — Karol Baedecker ur. 1801 r. w Essen, założoną tam firmę przeniósł do Koblencji, a jego syn Fritz rozwinął ją już w Lipsku, centrali futer i książek. — Pierwszy jego przewodnik to „Rheinreise" z 1830 r.

Potem w ciągłej pracy pokoleń, czerwone okładki o światowej sławie, ujęły powoli cały świat. Przewodniki te nie są pisane „na słowo", o nie! Sam Baedecker lub jego zaufani zwiedzają świat i sprawdzają na miejscu ceny i czystość hoteli, nowości warte widzenia, odbierają albo zaopatrują je w gwiazdkę jedną lub więcej. Baedecker wskazuje i opisuje, ale spragnionych wrażeń zawozi „Cook", którego nazwisko może jeszcze więcej jest znane. Z jakichże małych początków rozwinęła się ta wszechświatowa sieć opieki nad turystami! W 1808 r. urodził się w Melbourne taki przedsiębiorczy pan niejaki Thomas Cook, wielki zwolennik wstrzemięźliwości. — W 1841 porozumiał się z kompanją kolejową Midland Counties, wynajął specjalny pociąg dla przewiezienia swych sympatyków z Leicester do Loughborough, na mające się tam odbyć zebranie. Potem został agentem tejże kompanji i zajmował się organizowaniem wycieczek, n. p. w 1851 r. do Londynu na wystawę. W 1865 r. przeniósł już swą firmę Thomas Cook and Son do Londynu i stąd rozprzestrzenił się na cały świat, jak długi i szeroki. Umarł w 1892 r. Te dwa nazwiska otworzyły nam świat i nauczyły podróżować, zwiedzać cuda natury, n. p. na wyspie Flores na wschód od Jawy bliźniacze jeziora przedzielone cienką ścianą skały, z których jedno jest niebieskie, a drugie czerwone; turkus i rubin w bronzowych skałach na tle zieleni lasów, albo iryzujący jak fajerwerk wodospad Gersoppa rzeki Sharavati w Indjach, o najwyższym wolnym spadzie w świecie — 250 m — czy wreszcie wystawy. Stop: przygotowuje się wystawa w Paryżu — a „herbem" tej stolicy jest przecież wieża Eiffla, której kamień węgielny położono 50 lat temu w 1887 r. Gdy inż. Eiffel wystąpił z swym projektem, wyśmiano go jak to zwykle przy śmiałych projektach bywa. Gdy w 1889 — na ówczesną wystawę — wykończył wieżę, oczekiwano lada chwila zawalenia się jej (dzięki temu zresztą jest naokoło tej wieży tyle miejsca wolnego). Wieża jednak stoi i mimo swej wagi — drobnostka — 7700 tonn — robi lekkie i estetyczne wrażenie, jak każda przemyślana konstrukcja. — Zwiedziło ją już jakie 17 miljonów ludzi, Citroen zrobił sobie z niej reklamę, radjo ma tam swą siedzibę, a w czasie wojny był to cudowny punkt obserwacyjny o zasięgu około 100 kilometrów. Nie jest już wprawdzie najwyższą budowlą ze swemi 300 m wysokości, bo Empire State Building i Chrysler Building ją przewyższają, ale zawsze pozostanie jednym z cudów techniki.

Samochód z jego popularyzacją to drugi cud techniki. Jakiemi wozami jeżdżą pionierzy automobilizmu? Czy cudownemi luksami? nic podobnego! Poczciwy Karol Benz nie na żarty zirytował się, gdy — swojego czasu — podstawiono mu na wycieczkę niedzielną samochód a nie powóz konny. Przecież niedziela to przyjemność, a nie ryzykowanie kości! Ford, który jakie 44 lata temu zbudował pierwszy motor, rozwijający zawrotną szybkość... 4 km/godz., teraz niewiele powiększył szybkość swej lokomocji, bo do fabryki jeździ na rowerze, t. j. 10 km/godz.

O sprawie Lindbergha tomy już napisano, ale może mało znanym jest taki „czarną magją" tchnący szczegół: Ludwik XV dla narzeczonej wnuka, Marji Antoniny, kazał zrobić welon, który wręczył jej na granicy Francji książę de Rohan. Wiadomo, jaki był jej los. Welon przechodzi potem z rąk do rąk — nikomu nie przynosi szczęścia. N. p. jednym z właścicieli był J. J. Astor, który zginął na Titanicu w 1912 r. — Po przeleceniu samolotem przez Atlantyk Lindbergh otrzymał ten welon w podarunku od rozentuzjazmowanej ludności St. Zjednoczonych. Krótki czas tylko znajdował się on u teścia, senatora Morrow, wystarczyło to jednak, by sam Morrow umarł z nieznanej przyczyny, a Lindberghowi wkrótce porwano jedynaka.

Postrach lotników to lądowanie podczas mgły spowodu niemożności ocenienia dokładnej odległości od ziemi. Pomysłowy inż. Houghton, oczywiście Amerykanin — i na to znalazł radę: umieszcza z przodu aeroplanu olbrzymią sikawkę, wyrzucającą jakiś chemiczny preparat. Mgła skrapla się i przed aeroplanem wytwarza się wolna od mgły przestrzeń kilkuset metrów kwadratowych— wystarczająca do swobodnego lądowania.

Przypatrzywszy się uważniej musimy przyznać, że trudno sobie wyobrazić bardziej niehygieniczne warunki życia, jak warunki naszych miast: kurz, złe powietrze, brak słońca w mieszkaniach, mgły — to główne przyjemnostki. Na zachodzie już wszczęto z tem energiczną walkę, chociaż niema jeszcze miasta, gdzieby było policyjnie zakazanem palenie węgla w piecach domowych (co jest zresztą równoznaczne z wyrzucaniem pieniędzy przez okno z jednej strony, a z drugiej zatruwaniem powietrza gazami i tworzeniem nad miastem zasłony przed słońcem). Trudna jest walka z kurzem (kurz i węgiel często są przyczyną mgieł), jednak już w wielu miastach panuje niepodzielnie asfalt zamiast barbarzyńskiego wapniaka lub szosy. „Air conditioning", t. j. dostarczanie do mieszkań powietrza bezwzględnie czystego, o żądanym stopniu wilgoci i odpowiedniej temperaturze — zapoczątkowała Ameryka.

Teraz inżynier francuski Jacques Arthuys — wyryjmy jego nazwisko złotemi głoskami — wpadł na arcyprosty sposób „dostarczania" słońca do mieszkań. Szereg odpowiednio ustawionych luster „wrzuca" słońce do najciemniejszego zakamarka domu. Londyn może się pierwszy poszczycić takim słonecznym domem, a Bruksela wykańcza hotel, w którym nawet korytarze będą pełne słońca. — Za inicjatywą kobiety powstało w Londynie „British Sunshine Corporation" (Brytyjskie przedsiębiorstwo słonecznego światła), które ma na celu z gruntu zmienić okropne cyfry statystyki stwierdzającej, że mieszczuch korzysta tylko z 8% ogólnej ilości godzin słońca w mieście i ma zaoszczędzić 3/4 kosztów sztucznego oświetlenia. — Nie, — elektrownie nie powinny się bać, lecz niech modernizują swą politykę sprzedaży i forsują lepiej piece elektryczne! Pomijam już szarpiącą nerwy kwestję hałasów ulicznych, bo jest to wołające o pomstę zaniedbanie ustaw budowlanych: w naszych domach można przez ścianę rozmawiać! Technicznie sprawa ciszy jest kompletnie rozwiązana. Tak to technika niepowstrzymanym pędem prze naprzód: w Singapore — o zgrozo! — muezzin nie będzie już krzyczał z wieżyczki minaretu swego wezwania do wiernych, będzie mówił do mikrofonu, a głośniki pokonają hałas uliczny i rozniosą jego głos w najdalsze zakątki tego drugiego Gibraltaru Wielkiej Brytanji. Francja buduje wagony ciche i bez wstrząsów — rzecz technicznie łatwa, tylko trzeba chcieć dać komfort publiczności. — Wagony te będą wyłożone odpowiednim materjałem — izolowane, uresorowanie zmienione a guma stanowić będzie ważny współczynnik w jego budowie.

Z „Alexandra Palace" w Londynie już nadają telewizję. Ogniową próbę będzie zdawać ta nowoczesna lampa Aladyna, podczas koronacji Jerzego VI. Z kilku aut rozstawionych wzdłuż trasy będzie się transmitować pochód do każdego home'u zaopatrzonego w odpowiedni aparat. Zobaczymy, czy się to uda! Gdy mówimy o koronacji, trzebaby wspomnieć i o państwowej koronie — „Imperial Crown". Sporządzona dla królowej Wiktorji zawiera skarby całego imperjum, złoto z Kanady i Australji, platynę z Nowej Zelandji, brylanty z Afryki i Indyj, rubiny z Burmy, szmaragdy i szafiry indyjskie, akwamarynę z Cejlonu. Z sławnych kamieni zawiera brylant Cullinan, wielkości jaja kurzego, rubin — prezent Pedra Srogiego króla Kastylji, wreszcie szafir Stuartów. W sumie zawiera parę tysięcy diamentów, paręset pereł, kilka rubinów, po kilkanaście szmaragdów i szafirów.

Dodam jeszcze, że wartość przechowywanych w Windsorze skarbów wynosi około 260 miljonów złotych — i że niejaki p. M. Berman posiada kopje sporządzone przez najzdolniejszych jubilerów, na podstawie dokumentów, portretów i rzeźb wszystkich regalij angielskich od XIII w. po dzień dzisiejszy.

Jerzy Dołęga-Lewandowski.
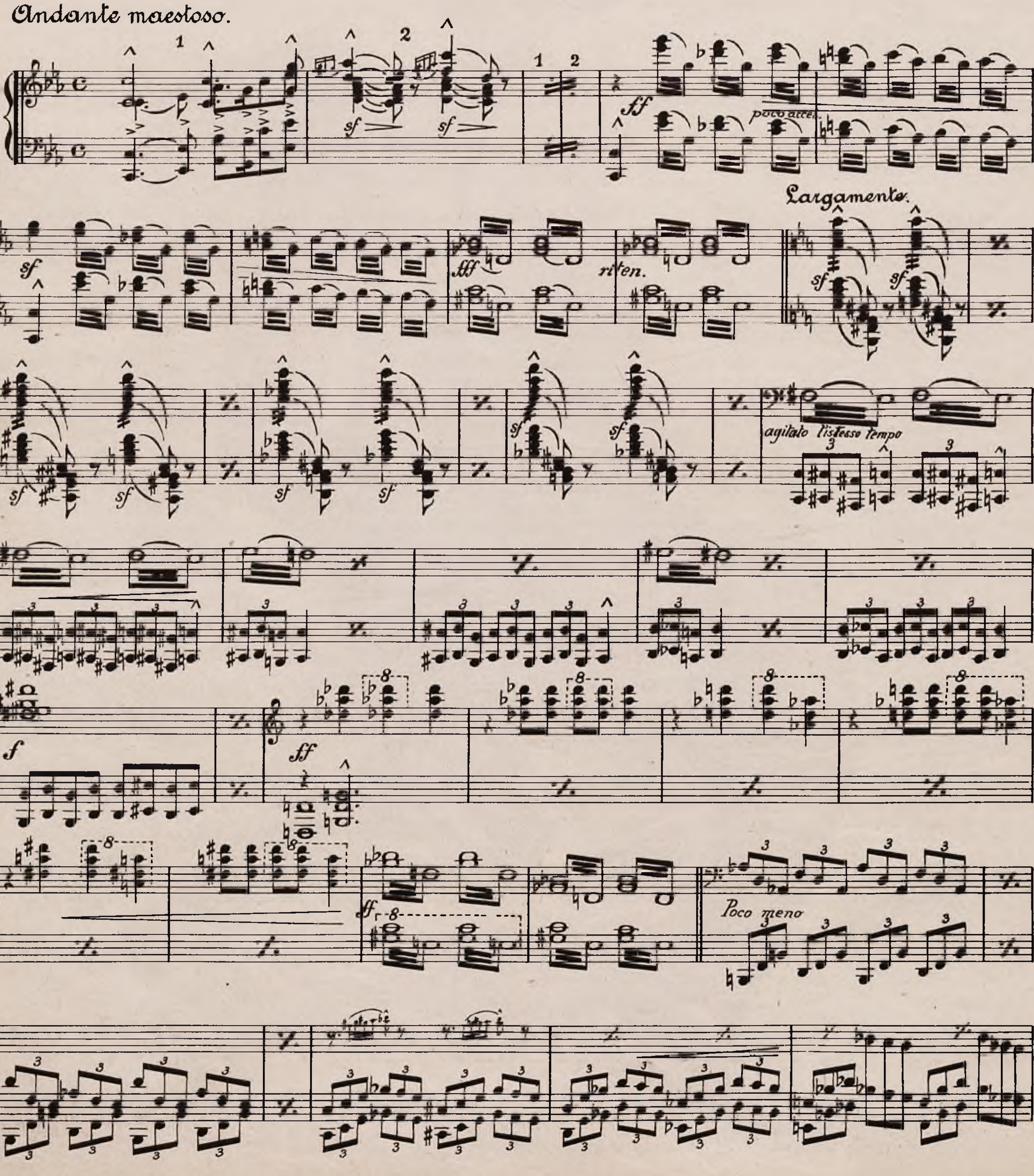


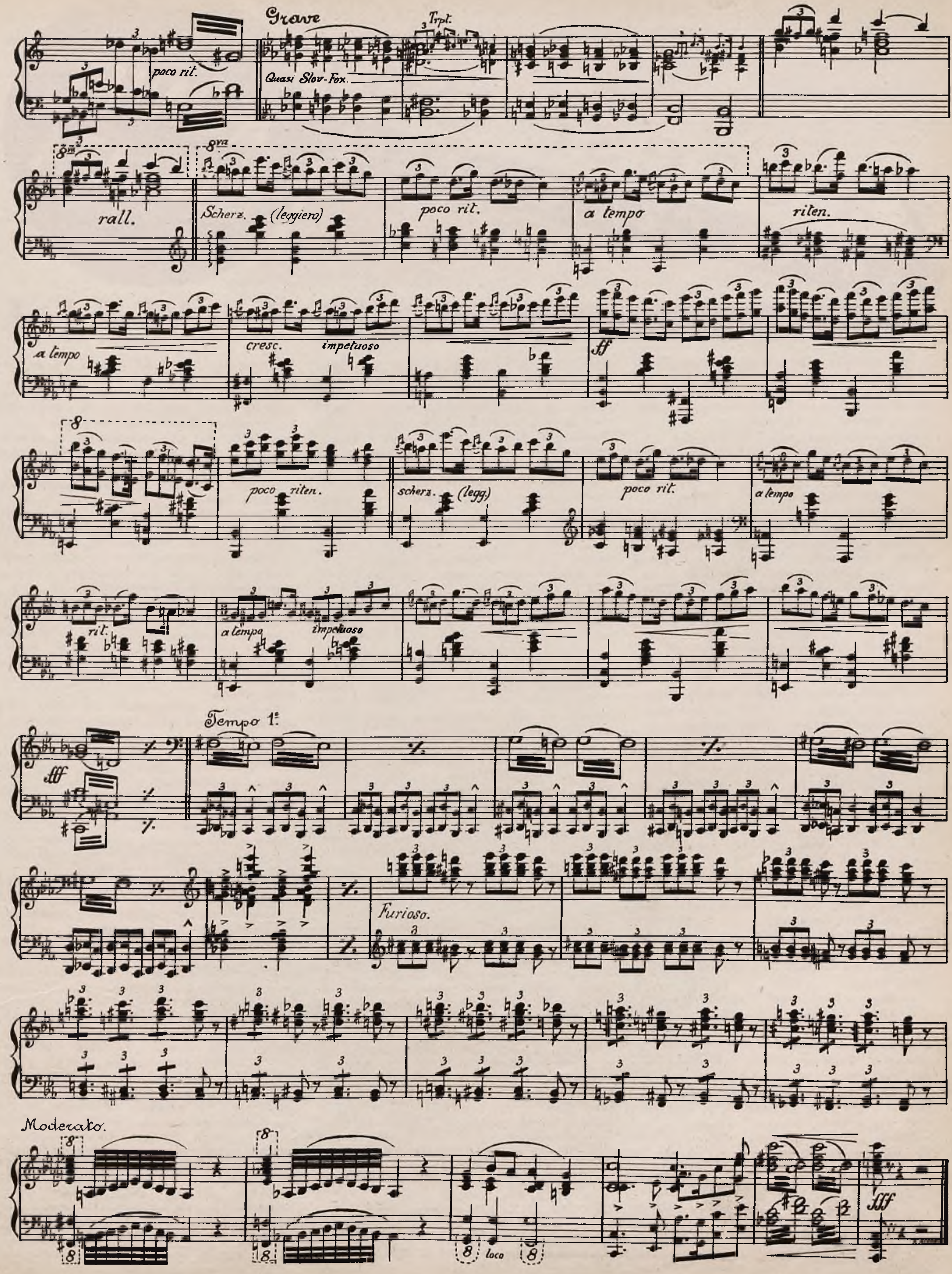
FINALE TAŃCA... SONO OSATO, BALLERINA ZESPOŁU W. DE BASIL. FOT. POLONSKY — HOLLYWOO

„ZMYSŁY I PRACA"

fragment muzyczny, skomponowany wyłącznie dla „Baletu Feliksa Parnella"

ZYGMUNT WIEHLER (1936)




Grave
Trpt.
poco rit.
Quasi Slov-Fox.
rall.
Scherz.
(leggiero)
poco rit.
a tempo
riten.
a tempo
cresc.
impetuoso
fff
poco riten.
scherz.
(legg.)
poco rit.
a tempo
rit.
a tempo
impetuoso
fff
Tempo 1°
Furioso.
Moderato.
loco
fff

ARTUR CZAJCZYŃSKI

KONIEC ŚWIATA za sześć dni

NOWELA

Był wieczór... W zadymionej karczmie Jacka Plendona znajdowało się pełno gości. Jedni grali w karty, drudzy spierali się na różne lokalne tematy, inni zaś w skupieniu słuchali muzyki radjowej.

Na dworze padał deszcz. Krople jego uderzały monotonnie o szyby okien karczmy, spływając strumieniami po drewnianej ścianie budynku, przed którym utworzyła się wielka kałuża...

Na ciemnej drodze pojawiła się sylwetka jakiegoś mężczyzny. Nieznajomy otulił się mocniej w długą pelerynę z nasuniętym na głowę kapturem. — Skierował swe kroki w stronę karczmy Jacka Plendona. Z trudem przebył kałużę, wpadając kilka razy po kostki w brudną wodę. Dotarł do drzwi i zastukał pięścią. Otworzono je... Nieznajomy wszedł do karczmy, uchylając kaptura. Oczy obecnych gości skierowały się w jego stronę. Przybysz rozejrzał się dookoła i szepnął coś karczmarzowi.

— Stolik wolny dla pana, kolacja i herbata, służę panu — skłonił się karczmarz z uśmiechem, węsząc lepszy zarobek.

Za chwilę nieznajomy siedział przy stoliku w ciemnym kącie knajpy i spożywał podaną kolację, popijając gorącą herbatę.

— Ubrany jest jak pastor — odezwał się jeden z gości, wskazując ukradkiem w stronę nowoprzybyłego gościa.

— Pewnie nim jest — odezwał się drugi.

Nieznajomy stał się teraz przedmiotem przyciszonych rozmów...

— Ooo, patrzcie, wyjął teraz jakąś księgę... Ma nawet własną świecę, zapalił ją i czyta... modli się — zwrócił ktoś uwagę.

— Religijny człowiek, — potwierdził karczmarz Jack Plendon.

— Hallo Plendon... wyłącz radio, niech nie gra... Nie wypada... — zwrócił ktoś pocichu uwagę.

— Racja... — szepnął Plendon.

Muzyka ucichła. Nieznajomy poruszał wargami i przewracał kartki grubej książki. Przerwał wreszcie i rozejrzał się po obecnych. Wstał od stołu i wystąpił na środek karczmy.

— Panowie... Czy czytacie stale gazety? — zwrócił się do zebranych z pogodnym uśmiechem.

Obecni spojrzeli po sobie. Kilka osób odpowiedziało nieśmiało.

— Czytaliście może panowie o uczonym mężu, bogobojnym astronomie Tomie Conderville?

— Ja czytałem — odezwał się pewien mały człeczyna z okularami na nosie — Tom Conderville jest człowiekiem niezwykłym, wielkim. Jego nauk słuchały w skupieniu miljony. Kilka razy miałem możność słuchania jego wysoce pouczających wykładów. Sam Prezydent podejmował go w swoich apartamentach i słuchał jego ciekawych lekcyj. On jeden na świecie potrafi rozmawiać z gwiazdami. Rozmawia z niemi tak, jak my ze sobą. Jakim cudem zdołał Conderville wejść w ten kontakt z gwiazdami, to pozostanie dla nas nędznych śmiertelników tajemnicą. Jakże jednak nieszczęśliwi są ci ludzie, którzy nie słyszeli nigdy Toma Conderville'a — zasmucił się mały człowieczek.

Wszyscy obecni słuchali jego wywodów w skupieniu. Wszelkie rozmowy i hałasy ustały... Tylko monotonne bębnienie kropel deszczowych o szyby karczmy zakłócało tę ciszę.

Nieznajomy uśmiechając się dobrotliwie, spojrzał po twarzach obecnych i odezwał się:

— Otóż, moi kochani, ja jestem Tomem Condervillem.

— Paan? — zapytali, dziwiąc się obecni.

Mały człeczyna wystąpił naprzód i zbliżywszy się do Conderville'a zaczął obsypywać jego ręce pocałunkami.

— Ludzie — wołał — co za szczęście nas spotkało!... Tom Conderville, ten wielki mędrzec, zaszczycił nas tu swoją obecnością... Ach co za osioł ze mnie, że go nie rozpoznałem odrazu.

Kilka osób poszło za przykładem małego człowieka całowało ręce Condervilla. Wreszcie wszyscy zaczęli wznosić powitalne okrzyki na cześć uczonego.

— Ciszej... ciszej moi kochani... pozwólcie mi przemówić! — odezwał się Conderville.

Gdy się uspokoiło, Conderville zaczął mówić:

— Przyszedłem do was z wielką nowiną... Cieszcie się ludzie wszyscy, cieszcie się i radujcie dopóki czas, a czasu tego już niewiele, bo tylko sześć dni. Gwiazdy mi to zdradziły, gwiazdy, z któremi rozmawiam dniem i nocą! Moi najmilsi, wiedzcie, że za sześć dni nastąpi koniec świata. Sześć dni, to niewiele czasu, ale dosyć, by naprawić wszystko zło, jakie się wyrządziło bliźnim. Któż z was nie popełnił czegoś złego..., pytam! któż?... Ooo, jakież to przykre... — mówca zaczął płakać i ciągnął ze łzami w oczach dalej — jest jednak jeszcze sposób do naprawienia wszystkiego złego. — Wtedy, gdy naprawicie zło, możecie spokojnie umierać z radością w sercach. Przyprowadźcie tu jutro swe żony i dzieci... powiem wam, w jaki sposób możecie się doczekać szczęścia po śmierci. A teraz idźcie do waszych domów, opowiedzcie, co mówił Tom Conderville. Jutro rano będę czekał na wasze żony, dzieci i na was — mówił Conderville, ocierając chusteczką łzy.

Wzruszeni słuchacze rozeszli się do domów.

Nazajutrz w karczmie i przed nią pojawiły się tłumy ludzi. Ukazał się Conderville i przemówił. Długo wzruszonym głosem wywodził, że, aby być szczęśliwym na drugim wiecie, trzeba wyzbyć się przedewszystkiem pieniędzy...

— ...bo pieniądze, to przekleństwo, moi najmilsi. Cóż wam po nich, kiedy za kilka dni świat się kończy. Zastanawiacie się, jak pozbyć się przeklętych pieniędzy... Doradzę wam. Spakujemy wszystkie w dłuży worek i zakopiemy w polu. Niech się diabeł niemi cieszy. My ich nie potrzebujemy! — krzyczał Conderville rozpromieniony.

Sięgnął do swej kieszeni po kiesę z pieniądzmi, wyjął je i rzucił na podłogę, poczem zaczął je deptać. Za jego przykładem poszedł mały człeczyna z okularami na nosie, który rzucił również garść monet na podłogę i począł na nie z pogardą pluć i deptać, wołając:

— Precz z pieniądzmi!... już tylko kilka dni dzieli nas od końca świata! Precz z przekleństwem!

— Precz! — zawtórowali inni.

— Karczmarzu dajcie worek na pieniądze! — zawołał mały człowieczek.

Pojawił się miech, który szybko zapełniał się znoszonemi przez ludność monetami.

Maleńki synek karczmarza zaczął niepostrzeżenie manipulować przy nieczynnym dotąd radjoaparacie. W tej chwili z głośnika dały się słyszeć słowa speakera:

— Nadajemy komunikat policyjny: Dnia siedemnastego bieżącego miesiąca zbiegł z domu obłąkanych pacjent John Mertin, podający się za wielkiego uczonego i astronoma, rozmawiającego z gwiazdami Toma Conderville'a. Oratorskie zdolności obłąkańca wykorzystuje poszukiwany oddawna przez policję oszust Jim Harding, człowiek odznaczający się małą postacią i noszący dla niepoznaki okulary. Reklamuje on po wioskach Toma Conderville, który przepowiada ludziom koniec świata i nakazuje łatwowiernym pozbawiać się pieniędzy. Oczywiście pieniądze te przywłaszcza sobie potem oszust Jim Harding, który wkrótce potem występuje w innej miejscowości, reklamując na nowo rzekomego mędrca. Każdy, ktoby wiedział o pobycie Mertina i Hardinga, proszony jest o zawiadomienie o tym najbliższej placówki policyjnej! — kończył komunikat speaker.

W sali zawrzało... Wszyscy rzucili się w stronę małego człeczyny — Jima Hardinga, trzymającego worek z pieniądzmi. Zatrzymano również Toma Conderville'a, a właściwie Johna Mertina. Obu skrępowanych odstawiono do placówki policyjnej.

A „koniec świata"?... Został „odroczony!"

KRÓLOWA DYSKU

Hala sportowa tętni życiem... Tłum młodzieży i starszych otacza zwartem półkolem miejsce, na którem startują zawodniczki w rzucie kulą i skokach...

Kto jest ta rosła, świetnie zbudowana dziewczyna, która z rozwianą, jasno-blond czupryną i z ujmującym uśmiechem na twarzy wchodzi na piasek i podniósłszy leżącą na nim kulę osadza ją miękkim ruchem na ramieniu? — Na ten widok zamierają słowa na ustach tłumu, który jeszcze chwilę temu witał zawodniczkę szmerem podziwu. Teraz tysiąc par oczu śledzi każdy jej ruch, przywołujący na pamięć misterne ewolucje baletnic.

Jadwiga Wajsówna — bo o nią to właśnie chodzi — stwarza rzeczywiście przy każdym swym starcie prawdziwy poemat taneczny. Niezwykła harmonja jej ruchów, estetyka każdej pozy, podkreślona wdziękiem postaci — to symfonja piękna, mogąca wzbudzić zachwyt zarówno na estradzie, jak i na stadjonie sportowym. Tylko, że na tym drugim terenie, tego rodzaju walory nie decydują o zajęciu pierwszego miejsca w konkurencji. Jak narazie wpływają one tylko na oznaczenie stylu zawodniczki, a nie na jej notę. I może właśnie dlatego są tak bardzo zapoznawane przez świat sportowy.

Patrząc na sylwetkę Wajsówny, która z braku miejsca na hali nie sięgnęła tym razem po dysk — klasyczną swą „broń", przypominam sobie jej start przedolimpijski w tej konkurencji. Opromieniona sławą mistrzyni świata, była ona największą sensacją zawodów mimo, że obok niej startowały prawdziwe „asy" naszej lekkiej atletyki.

I wówczas patrząc na jej wyczyn sportowy po raz pierwszy, zrozumiałem na czem polega jego estetyczna wartość. Nie byłem w tem chyba odosobniony. Twierdzę jednak, że większość widzów odczuła wpływ piękna tego pokazu raczej instynktownie, entuzjazmując się więcej ogłoszonym wynikiem, niż formą i stylem, w jakim został on ustanowiony.

* * *

Od dawna korciło mnie zadać następujące pytanie zawodniczce, która uchodzi za piękną dziewczynę:

— Coby pani uczyniła, gdyby uprawianie sportu zaczęło wpływać ujemnie na pani urodę?

Przyznaję, że taki początek wywiadu może odrazu zniechęcić do odpowiedzi jakąś fanatyczkę sportu — taką stuprocentową zawodniczkę i nic poza tem. Ale czyż nie jest ona mimo to tylko... kobietą? Chyba nie powinniśmy przesadzać w przestrzeganiu pytań, kręcących się aż do znudzenia wkoło takich tematów, jak stan bieżni, możliwość konkurencji ze strony innej zawodniczki, rozmiary treningu, djeta przed startem itd. itd.

Dokończenie na str. 31-ej.



Na prawo, w środku: Jadwiga Wajsówna przed startem na Olimpjadzie w Berlinie.

Poniżej: „Królowa dysku" w różnych fazach rzutu.











NADCHODZI SEZON NAJTAŃSZYCH POMARAŃCZ

Z pośród wielu owoców, które dostarczają nam życiodajnych witamin i dadzą się wielorako używać zarówno w zakresie możliwości kulinarnych, jakoteż w lecznictwie, a nawet kosmetyce, odgrywają pomarańcze najbardziej pierwszorzędną rolę, zwłaszcza, iż przychodzą właśnie w tym okresie, kiedy kończące się nasze owoce i świeże jarzyny, pozostawiają nas aż do nowych zbiorów w rozpaczliwem położeniu.

Stąd to, kiedy lat temu kilka wysokie cło na pomarańcze stawiało je w rzędzie luksusowych zbytków, podjął „Il. Kuryer Codzienny" wytrwałą walkę o zniżenie cła, uwieńczoną zupełnem zwycięstwem. Dziś możemy podtrzymywać nasz organizm przez parę miesięcy zimy i przedwiośnia zdrowotnemi i niezastąpionemi w tym czasie składnikami tych owoców południa, które, dojrzewając we wspaniałem słońcu, wzbogacone są w owe cudowne witaminy, tak zbawiennie działają na organizm ludzki, odbijające się szczególnie szczęśliwie na zdrowiu dzieci. One też rok cały o pomarańczach marzą i oczekują ich przybycia z prawdziwą dziecinną radością.

Nawet nie znając żadnych sposobów przyrządzania pomarańcz, można je doskonale zużytkowywać w postaci surowych owoców, jakże smacznych, soczystych i słodkich. Istnieje jednak wiele sposobów przyrządzania potraw, marmolad, dżemów i t. d., które pozwalają urozmaicać dania pomarańczowe, oraz przedłużyć możność stosowania ich w kuchni. W tym celu podajemy dziś liczne przepisy, jakoże właśnie zbliża się okres, kiedy pomarańcze będą w naszych warunkach najtańsze, a więc można je będzie używać także i w większych ilościach na przeroby.

Legomina z osmażanych pomarańcz: Zrobić gęsty syrop z 15 dkg cukru. Włożyć do niego, podzielone na cząstki i dokładnie obrane 4 pomarańcze, niech w nim postoją około 3 godziny. Przed samym obiadem osączyć je dokładnie i maczać w t. zw. klarze, tj. cieście, zrobionem z jaja, mleka pół na pół z wodą i mąki. Smażyć szybko na jasno złoty kolor na gorącem maśle lub jeszcze lepiej na fryturze. Osączać zaraz po usmażeniu na bibule, posypywać cukrem i gorące podawać na stół.

Pomarańczowe biszkopciki: Utrzeć 16 dkg masła, z 2 żółtkami, dodając 10 dkg cukru, otartego na skórce z jednej pomarańczy i utłuczonego. Dosypać 20 dkg mąki pszennej i 10 dkg mąki ryżowej, oraz sody na koniec noża. Zagniata się ciasto, dodając sok z jednej pomarańczy w takiej ilości, aby ciasto było dość wolne. Rozwałkowuje się je cienko na stolnicy, podsypując mąką, poczem wykrawuje się dowolnego kształtu ciasteczka, które piecze się w niezbyt gorącym piecu. Gdy się pieką, przygotować lukier utarty z pozostałego białka, troszkę cukru i soku z pomarańczy. Po wyjęciu ciasteczek z rury, smarować je tym lukrem i wstawić raz jeszcze do pieca dla obsuszenia lukru.

Suflet pomarańczowy: Przygotować posmarowany masłem półmisek z ogniotrwałego szkła. Obrać cztery pomarańcze, pokrajać je ostrym nożem na drobne kawałeczki i wymieszać z łyżką cukru miałkiego. Osobno ubić 4 żółtka, dodać do nich przygotowane pomarańcze, następnie mocno ubitą pianę z 4 białek i troszkę mąki. Lekko wymieszać i dać na przygotowanym półmisku do rury na 7—10 minut.

Krem pomarańczowy z bitą śmietanką: Obrać 4 pomarańcze, skórki dokładnie oczyścić z białego, gorzkiego spodu i ugotować w 1/4 litra mleka, aż będą zupełnie miękie. Wówczas przetrzeć przez sito. Osobno utrzeć 6 żółtek i 15 dkg cukru, dać do nich przetarte skórki i ubijać na parze na gęsty krem. Gdy zgęstnieje, studzić go wśród ciągłego ubijania, dodać 10—12 listków rozpuszczonej żelatyny i sok z dwóch pomarańcz. Gdy krem całkiem ostudzony, daje się do niego 1/2 litra ubitej, kremowej śmietanki i napełnia foremki lub jedną dużą formę, które przedtem trzeba delikatnie skropić topionem masłem i wyłożyć dokładnie pokrajane w talarki krążkami pomarańcz. Zastudzone na lodzie, dadzą się potem ładnie wyrzucić na kryształowe talerzyki lub na duży półmisek.

Kremik pomarańczowy w literatkach: 6 żółtek, filiżankę cukru i sok z 4-ech pomarańcz utrzeć i bić na parze aż dobrze zgęstnieje. Wtedy odstawić z ognia, dać 3 listki rozpuszczonej żelatyny i pianę z 6-ciu białek. Ponalewać do szklaneczek-literatek i postawić w zimnie do zastygnięcia. Proporcja na 6—8 osób, zależnie od wielkości literatek.

Krem studzony w skórkach pomarańczowych: Przekroić 4 pomarańcze ostrym nożem, delikatnie wydobyć środki i sok przecedzić. Utrzeć 6 żółtek i 1/2 f. cukru, dodać dobrą szklankę soku, przecedzonego z pomarańcz i ubijać na parze, aż krem dobrze zgęstnieje. Potem, ubijając, zdjąć z ognia, zastudzić, dodać 1/2 litra, dobrze ubitej kremowej śmietanki, 6 listków rozpuszczonej żelatyny, postawić na lodzie, a gdy zacznie gęstnieć, ponakładać do pozostawionych 8-miu połówek skórek pomarańczowych, odstawiając na lód do zupełnego zastygnięcia.

Krem pomarańczowo-cytrynowy: 1/2 f. cukru w kawałku otrzeć o skórkę z pomarańcz, dać go do rondla wraz z wyciśniętym i przecedzonym sokiem z 4 pomarańcz i jednej cytryny i 1/2 litrem wody. Po zagotowaniu tego syropu, odstawić go, dając 6 listków żelatyny, wymytej poprzednio w zimnej wodzie. Osobno ubić 4 żółtka, rozprowadzić je dokładnie przygotowanym syropem i ubijać na parze, aż krem zgęstnieje, (zagotować się nie śmie). Wkońcu dodaje się tęgą pianę z 4 białek, miesza wszystko nad parą na gładką masę i wkłada do formy wypłókanej zimną wodą, a po ostudzeniu stawia się krem na lodzie dla zastygnięcia. (Przepis ten, kiedyś już w „Asie" zamieszczony, podajemy powtórnie, aby zestawienie przepisów pomarańczowych było kompletne).



Oto jak należy podawać grape-fruit'y.



Krem pomarańczowy z bitą śmietaną.



Różne wzory wycinania skórki pomarańczowej, estetyczne i łatwe w wykonaniu, jeśli zastosuje się odpowiedni nożyk.



Apetycznie ułożone owoce dobrze smakują i nęcą swym wyglądem.

Sałatka z pomarańcz i bananów: Obrać bardzo dokładnie 6 pomarańcz i pokrajać w poprzeczne talarki, wyjmując pestki i biały środek owocu. Układać na kryształowej salaterce krążki pomarańczy i 3, na delikatne płateczki pokrajane, banany, posywując cukrem i mielonemi orzechami kokosowemi. Każdą warstwę przesypywać cukrem. Po dwóch godzinach, zalać sałatkę szklanką białego wina i podać.

Oranżada: Wlać do naczynia szklanego litr zimnej wody, wrzucając do niej 1/4 f. cukru w kawałeczkach, otartych silnie o skórkę pomarańczy i cytryny, następnie wlać sok z 4 pomarańcz i 2 cytryn. Gdy się cukier doskonale rozpuści, zlać oranżadę przez płócienny woreczek do odpowiedniego dzbanka, postawić na lodzie i podawać na stół bardzo zimną.

Przechowywanie skórek pomarańczonych w cukrze: Obrany ostrym nożem sam wierzch skórki pomarańczowej (znany we Francji pod nazwą „zeste"), zdejmowany nie spiralnie, lecz wzdłuż owocu, układa się warstwami w słoiku, przesypując każdym razem miałkim cukrem. Po zapełnieniu całego słoika, który można uzupełniać w miarę posiadania skórek, zawiązuje się go celofanem i używa albo samego cukru do pieczywa i kompotów, albo też wraz ze skórką. Z czasem cukier ten przemienia się w słoiku na gęsty, wonny syrop.

Grapefruit jako eleganckie danie surówkowe: Na talerzu kładzie się ładną nieduzą serwetkę, aby nie wystawała rogami poza talerz. Na to stawia się miseczkę takiej wielkości, aby owoc grapefruit w niej się pomieścił. Na każde danie podaje się połówkę grapefruit'u, umieszczając na środku kilka smażonych wiśni. Kombinacja doskonała! Na talerzu nie zapomnijmy o łyżeczce do wydobywania soku z owocu. Zet.

Marmoladę pomarańczową sporządza się z owocu zupełnie dojrzałego, więc z końcem lutego lub w marcu, kiedy pomarańcze są najsłodsze i soczyste. 12 sztuk takich pomarańcz obiera się ze skórki, którą się gotuje, zmieniając kilkakrotnie wodę. Obrane ze skórek pomarańcze zaś odstawia się szczelnie przykryte aż do użycia

w miejsce chłodne (nie mroźne!). Kiedy skórki są już tak miękkie, że nabite na drut zaraz zeń spadają, wyjmuje się je do zimnej wody, w której mają pozostać przez 24 godzin, poczem odcedza się je z wody i oskrobuje z gąbczastej białej wewnętrznej części tak, aby tylko cienka żółta skórka pozostała. Tę sieka się drobno i wrzuca do gęstego syropu, ugotowanego z 1 kg cukru i szklanki wody, dodaje odłożone poprzednio pomarańcze, drobno pokrajane i oczyszczone z białej skórki i pestek. Wszystko razem gotuje się powoli przez godzinę na gęstą masę i składa gorące w stoje.

Dżem pomarańczowy. 60 dkg pomarańcz i jedną cytrynę obmywa się i wyciera, zalewa litrem wody, w której zostają przez 24 godzin. Wyjęte z wody owoce, kraje się w płatki wraz ze skórką, zagotowuje w tej samej wodzie, w której się moczyły i odstawia znowu na 24 godzin. Dla amatorów gorzkawych dżemów zaleca się dodanie do gotowania pestek, zawiązanych w kawałek tiulu. Po ugotowaniu woreczek z pestkami należy odrzucić. Wkońcu dodaje się 1 kg cukru, a po jego rozpuszczeniu się, gotuje się dżem powoli przez dwie godziny, poczem składa się gotową gorącą konserwę do stoja i zawiązuje zaraz pergaminowym papierem.

Gelée pomarańczowe. Wyciska się sok z 12 pomarańcz i 2 cytryn i filtruje go przez płótno. Na pół litra tego soku dodaje się 1/4 l soku jabłecznego oraz 40 dkg cukru z głowy, porąbanego i otartego o skórki pomarańczowe, aby nabrał aromatu. Po rozpuszczeniu się cukru w soku, tj. aż kropla spuszczona na talerzyk stanie, czyli nie będzie się rozpływać. Gorącem gelee napełnia się małe słoiki, które się owiązuje po ostudzeniu.

Kandyzowane pomarańcze. Do sporządzania tego bardzo ładnego i chętnie przez dzieci widzianego deseru należy przygotować prócz owocu i cukru także i cienkie patyczki na 10 cm długie oraz duży rondel, napełniony przemytym i wysuszonym piaskiem i przykryty białym papierem. Pomarańcze do tego celu wybieramy bezpestkowe. Obrane dokładnie dzieli się je na pojedyńcze cząstki, nabija każdą na patyczek i macza w cukrze, zagotowanym na **bardzo gęsty syrop.** Każdą cząstkę macza się w cukrze kilkakrotnie i wbija patyczek za każdym razem pionowo przez papier do piasku, celem obsuszenia lukru. Ułożone wkońcu w pudełkach i przechowane w suchem miejscu, trzymają się dobrze przez parę tygodni.

Kandyzowane skórki pomarańczowe. Ugotowane w kilku wodach, zupełnie miękkie skórki, przelane zimną wodą, wykłada się na czystą w kilkoro złożoną ściereczkę i wyciska z nich wodę, poczem wykrawuje się foremką małe krążki wkłada do gęstego gorącego syropu cukrowego i pozostawia w nim przez 2 godziny. Proporcja cukru: 10 dkg cukru na skórki z średniej wielkości pomarańczy. Postawione ponownie na ogniu gotować należy skórki przez pół godziny, licząc od zagotowania, poczem wyjmuje się je drutem pojedyńczo, zanurza w grubym cukrze kryształowym, układa na sicie i stawia w pobliżu pieca aż do zupełnego osuszenia.

Galaretka pomarańczowa. 50 dkg kostki cukrowej lub z głowy ociera się o skórki pomarańczy, zalewa litrem wody, zagotowuje i oczyszcza z pian. Następnie dodaje się sok z 5—6 pomarańcz i 2 cytryn, zagotowuje i klaruje przez dodanie do gotowania 1—2 białek rztrzepanych z troszką wody, zagotowuje ponownie i przecedza przez serwetę. Wkońcu dodaje się 4 dkg rozpuszczonej w gorącym soku żelatyny, miesza, nie gotując więcej i wylewa do formy lub małych foremek, wypłukanych zimną wodą i stawia w chłodzie do zastudzenia. Ładnie też wygląda ta galaretka, zastudzona w skórce z pomarańczy, wyciętej w formie koszyczka lub miseczki.

Cukier o aromacie pomarańczy do ciast i tortów można sobie przygotować w nactępujący sposób: Kawał cukru ociera się o łupki pomarańczowe aż do zupełnego zażółcenia cukru, wtedy zeskrobuje się cukier z wierzchu nożem na talerz i ociera dalsze partje cukru jak długo zapas skórek starczy. Wilgotny trochę cukier suszy się w pobliżu pieca i przechowuje następnie w słoiku szczelnie zamkniętym.

Cienko obrane skórki z pomarańcz lub cytryn zalane spirytusem dają doskonałą nalewkę lub ekstrakt do wyroku likieru.

Ususzone skórki pomarańczowe zesypane do tiulowych lub muszlinowych woreczków zawieszone następnie w szafach z garderobą, stanowią dobry środek antimolowy.

Szyc. Korska.

ŻYCIE artystyczne

ILUSTRATOR MUZYCZNY „BALETU PARNELLA"



Nasz reprezentacyjny zespół taneczny, powołany do życia i prowadzony od sukcesu do sukcesu przez świetnego tancerza Feliksa Parnella, może być dumny z swego kierownictwa muzycznego, które od pierwszej chwili spoczywa w rękach wytrawnego muzyka i doskonałego kompozytora, p. Zygmunta Wiehlera, autora niezwykle oryginalnych ilustracyj muzycznych, z których jedną p. t. „Zmysły i praca" zamieszczamy w niniejszym numerze. Na zdjęciu: Zygmunt Wiehler na czele zespołu orkiestralnego w berlińskim „Wintergartenie", gdzie balet Parnella święcił niebywałe triumfy.

„HALLO! POLSKIE RADJO KRAKÓW..."



W dniu 23 b. m. minęło dziesięć lat od chwili, gdy po raz pierwszy zabrzmiał w eterze głos, zapowiadający: „Hallo! Hallo! Tu Polskie Radjo Kraków...". Wówczas to liczni radjosłuchacze zawarli znajomość z właścicielką tego miłego głosu, p. Leną Meyerholdową, pierwszą speakerką krakowskiej radjostacji, która niedługo po swoim radjowym debiucie stanęła już w rzędzie najlepszych zapowiadaczek Europy. Dziś po upływie tych dziesięciu lat, jakie dzielą nas od pierwszego występu p. Meyerholdowej, możemy z czystem sumieniem podnieść jej niewątpliwe zasługi na odpowiedzialnym posterunku naszej radjofonji.

Z POZNAŃSKIEJ SCENY



Teatr Nowy w Poznaniu wystawił ostatnio niegrany dotąd w Polsce reportaż sceniczny p. t. „Berlin—Paryż—Mata Hari". Akcja tej sztuki, jak zresztą wynika z samego tytułu, opiera się na fragmencie życia głośnej kobiety-szpiega Maty Hari, i już choćby z tego powodu musi wzbudzić zainteresowanie publiczności, która tłumnie odwiedza przedstawienia. Rolę Maty Hari gra dawno niewidziana w Poznaniu p. Zofja Cieszkowska, stwarzając bardzo interesującą i przemyślaną kreację, zaś jej partnera oficera francuskiego, Declaira, odtwarza dyrektor Lisowski (na zdjęciu), który dał piękną sylwetkę bohatera z pod Verdun.

Jeszcze przed rozpoczęciem ostatniego karnawału przyszły zdumiewające wiadomości o skracaniu się tualet balowych. W okresie, kiedy suknia balowa nabierała coraz więcej cech najdostojniejszego splendoru, który w całej pełni zajaśnieć ma na koronacji Jerzego VI, wiadomości takie wydawały się wprost herezją. I niemal-że nią były, bo choć tu i ówdzie pojawiły się krótsze suknie wieczorowe, żywot ich był bardzo... krótki! Długa suknia jeszcze przedłużona trenem, zatriumfowała na całej linji.

Ale wiosenne zmiany modnej sylwetki przynoszą nam przecież w darze — krótszą sukienkę sportową i popołudniową. Oglądać ją już można było w Paryżu na pokazach wiosennych mód, t. zw. „générale"", coś jakby próbach generalnych, przed idącym wielkim sezonem. Ukazały się w magazynach Marcel Rochas, Creed i Francevramant. Na razie są to zupełnie młodociane kreacje, ale już wiele pań wysnuwa z tego obiecujące wnioski.

— Nasze sukienki znów będą ekscytowały brzydką płeć, bo przy lada szybszym obrocie, przy założeniu nóżki na nóżkę, ukazywać będziemy tak długo pod długiemi sukniami więzione, piękne kolana..

— Czekać będziemy tej sposobności z prawdziwą niecierpliwością — odpowie gentlemen, bo i cóż, na takie lekko czynione obietnice, odpowiedziećby można innego?

A więc Marcel Rochas miał niezwykle ciekawą „générale". Cisnęły się tłumy zaproszonych gości z przedstawicielami prasy na czele. Królowała bezsprzecznie pani Rochas, niezwykle elegancka, w czerwonym żakieciku do czarnej spodniczki, najnowszej kreacji swego męża. Przed zebranymi przedefilowały żywe manekiny to w uroczych nowościach kąpielowych (już teraz...), reprezentowanych przez shorty i sukienki plażowe w spodniach-spodniczkach, sięgających zaledwie poza kolana, to w licznych kostjumach sportowych, o prostym kroju krótkich spodniczek, nieco dłuższych żakiecikach i uroczych bluzeczkach, w kolorach białym, blado-niebieskim lub we wzorzyste desenie. Niektóre spodniczki są całkowicie plisowane, inne rozszerzone dołem przez fałdy. Do ciemnych spodniczek dużo przedstawiono jasnych żakietów. — Jednym z najciekawszych takich kompletów była szkocka spodniczka plisowana z żółtym żakietem i białą bluzeczką.

Są i bolerka, które uznano za bardzo odmładzające. Są i płaszczyki o męskim kroju a do nich męskie miękkie kapelusze filcowe, bardzo efektownie i po kobiecemu noszone przez manekiny o złocistych włosach.

Pokazywano naturalnie i suknie wieczorowe i balowe. Koronacja w Londynie coraz bliżej, moda nie może ominąć tej czarującej sposobności przybrania swych wyznawczyń à la dwór angielski! Zresztą wiele tych kreacyj bezpośrednio po „générale" odesłano do stolicy Anglji, zakupione z miejsca przez reprezentacje tamtejszych domów mody. Charakteryzowały je bogate materjały, jak francuskie delikatne gazy jedwabne w mnóstwo kolorowych deseni kwiatowych lub mistrzowsko mieszanych z nieokreślonych plam i pasów wielobarwnych. Inne lekkie i zwiewne z białych gaz, unoszące zda się postać kobiecą wprost do tańca.



Na prawo: Oto typ najnowszej „petite robe" z czarnej crepe de chine w kwiatowy deseń. Pasek z czarnego jedwabiu.

SUKIENKI »NA PÓŁ KRÓTKO«...



Suknia wieczorowa z jedwabiu o egzotycznym wzorze.



Wiosenny kostjum trzyczęściowy o krótszej spódniczce, której prosty krój urozmaicają kontrafałdy z przodu i z tyłu. Kołnierz z popielatego lisa i czapka z antylopy.

Warto było widzieć „générale" u Molyneux. Jego suknie wieczorowe są przeważnie bardzo szerokie, jak krynoliny, z koronek, tafty lub tiulu, albo też dające bardzo prostą sylwetkę, tak wszystkie fałdy i plisy spływają prostopadle wzdłuż szczupłych postaci manekinów. Cięższe materjały wzorzyste układają się posłusznie w tej dość rzadko spotykanej prostocie linji. Inne materjały, przeważnie z gatunku lam, ukazały się specjalnie dla celów angielskiej klienteli. I te układają się najpiękniej, jako gęsto marszczone dostojne fałdy, opływające postać kobiecą z królewskim splendorem.

Wiosenne kostjumy i płaszcze, przeważnie w odcieniach granatowych, ożywiają bardzo żywe w tonie kwiaty, lub owoce w butonierkach.

Jean Patou wskrzesza czasy „Grande Elégante" wielkich dworów przedwojennych. Wszystko u niego szamerowane najrozmaitszemi wyszyciami. To złotem, to perłami, to kolorowym haftem przy pomocy jedwabnych pasmanterji. Ciężki złoty haft daje niebywały kontrast na tle czarnej gazy. W wielu innych kreacjach, wyszycia służą tylko do pasków i obszyć brzegów sukni.

Nad wszystkiem jednak górują jego wspaniałe, niedościgłe w klasycznej linji płaszcze wieczorowe z ciężkich materjałów jedwabnych, śmiało zestawianych kolorami. Przy nich skromne, lecz jakże lubiane przez świat kobiecy „petites robes", proste, łatwe w wykonaniu, o indywidualnych szczegółach, trudnych potem do naśladowania i stąd rozchwytywanych z miejsca przez Paryżanki.

Dwa kolory lansuje Jean Patou: niebieski-lavande i różany. Kostjumy jego, też w dalszym ciągu bez kołnierzy i ranwersów, piękne tylko na wysmukłych i wysokich postaciach kobiecych.

Tym kostjumom daje też pierwszeństwo Creed, dodając żakietom i płaszczom urocze kamizelki. Tu widzimy najśmielsze zestawienia kolorów o żywych, wesołych odcieniach. Czarna spodniczka, żółty żakiecik, ślizgawkowa bluza. Jasna bluza niebieska w czerwone kropki. Kostjum szkocki o tonach szarych, do niego zielona trawiasta bluza...

Suknie wieczorowe tworzy najczęściej alpaga, tkana ze szkła, nowość sezonu...

Wiele pomysłowości ukazuje Francevramant. —



Efektowna wieczorowa suknia koronkowa z bolerkiem, które podchodzi z przodu pod samą szyję, ustępując z tyłu dużemu dekoltowi.



Powyżej: Wiosenna „petite robe" w niebiesko-biały deseń na czarnem tle, z czarnym kontrafałdem, czarną kamizelką i takimże paskiem. Zapięcie wysoko pod szyją i długie na guziczki zapięte rękawy.



Na lewo: Koronkowa suknia wieczorowa wyszyta srebrną nitką. Krój kloszowy z wydłużoną baskinką stanika i bufiastych rękawach; kwiaty o pastelowych kolorach.

Wieczorowe jego tualety, to poematy, w których zużytkowuje wszystko, co w tej chwili ukazuje się w zakresie nowości mody. Jakże oryginalną jest suknia wieczorowa w deseń wielobarwny, który powtórzony jest mistrzowsko haftem perłami na jej aksamitnym płaszczu...

Wszystko wyszywane licznemi kolorami, z zastosowaniem dawno zapomnianych ściegów, jak krzyżykowy itd.

Gipiurowe dodatki ożywiają ciemne i wzorzyste suknie. Bardziej jeszcze oryginalne są przywrócone do łaski kołnierzyki „collerette", z białych, przejrzystych gaz.

A więc znów zatriumfują właścicielki pięknych nóżek... choć przez krótki czas wiosny czy lata, ale triumf będzie tem przyjemniejszy, im krótszy i im mniej zwolenniczek zdoła go w tym czasie uzyskać!

Mewa.



Stylowa wieczorowa suknia z lamy. Oryginalny dekolt w kwadrat.

PRZEPISY
odnoszące się do naszego kalendarzyka – obliczone na 3–4 osoby.

PRZYSTAWKA À LA BRISTOL. Ugotowane na twardo jaja obiera się i przepoławia wzdłuż. Żółtka przeciera się przez sito i rozciera z majonezem przygotowanym z surowego żółtka i 4 łyżek oliwy, następnie dodaje się trochę drobno siekanego wędzonego łososia i parę deka czerwonego kawioru. Masą tą napełnia się białka i składa dwie połówki razem. Jaja tak przyrządzone układa się na szklanym talerzu i pokrywa majonezem zmieszanym z auszpikiem. Wierzch zdobi się pianką z bitej kremówki Jaja można też układać pojedynczo na kryształowych miseczkach.

MARCHEWKA Z GRZANKAMI. Pokrajaną w cienki makaronik marchewkę cukrową (tzw. karotkę) dusi się z łyżką masła i cukru. Zupełnie miękką zaprawia się solą i łyżeczką mąki, rozrobionej z łyżką wody, zagotowuje raz jeszcze, miesza z małą puszką zielonego groszku i podgrzewa silnie. Osobno smaży się na maśle z obu stron kilka okrągło wykrojonych cienkich płatów bułki. Jarzynę kładzie się kopiato na środku okrągłego półmiska i układa wokoło usmażone grzanki. Tyle jaj, ile mamy grzanek, gotuje się wypuszczone na wrzącą osoloną wodę przez trzy minuty, wyjmuje ostrożnie i osączone z wody układa pojedynczo na grzankach, kropi rozpalonem rumianem masłem i posypuje szczypiórkiem.

ŚLEDŹ SMAŻONY (potrawa postna). Umytego z łusek i soli zwykłego śledzia, nacina się wzdłuż grzbietu i obciąga ze skórki. Następnie otwiera się go nożem od strony grzbietu i wyjmuje ości. W ten sposób powstałe dwie połówki śledzia wkłada się do mleka i pozostawia w niem przez parę godzin. Tuż przed smażeniem wyjmuje się je na czysty papier, aby się o ile możności osuszyły, panieruje w mące, jajku i bułeczce i smaży z obu stron w rozpalonym tłuszczu, tj. w maśle zmieszanem z oliwą. (W samem maśle szybko się przypalają). Ułożone na półmisku smażone śledzie, otacza się krokietkami z ziemniaków i podaje do nich osobno sałatę z surowej kapusty kiszonej lub też tylko płatki cytryny.

RYBA À LA MATELOTE. 1 kg jakiejkolwiek ryby, może też być morska, ta jednak musi być poprzednio obciągnięta ze skóry i natarta cytrynowym sokiem. Otóż 1 kg oczyszczonej ryby kraje się w kawałki na dwa palce szerokie, soli ją i układa w rondlu, w którym rozpuszczono 6 dkg masła i włożono małą w plastry pokrajaną cebulę oraz pęczek zielonej pietruszki. Ryba dusić się ma pod przykryciem przez 20 minut, poczem zalewa się ją pół litrem śmietany, rozkłóconej z łyżeczką papryki i tyleż kaparów posiekanych i dusi dalej przez pół godziny. Rybę podaje się z makaronem lub tartemi ziemniaczkami.

TANI SOS HOLENDERSKI DO RYB. Łyżeczkę masła uciera się na surowo z łyżką mąki, utworzone stąd ciasto rozprowadza się ostudzonym rosołem z pod ryby, dodaje szczyptę soli oraz cukru, soku i skórki cytrynowej i ubija na parze, aż do zagotowania, poczem podprawia się sos żółtkiem. W miejsce soku cytrynowego użyć można octu lub wina.

SAŁATA Z SELERA. Oczyszczony seler kraje się w płatki i gotuje w słonej wodzie wraz z kilku szalotkami, następnie osącza na sicie. Płatki seleru miesza się z pokrajanemi szalotkami i zaprawia na salaterce octem i oliwą, szczyptą soli, pieprzu i cukru. Również dobra jest ta sałatka zmieszana z płatkami gotowanych buraczków i podprawiona majonezem.

LEGOMINA KRUCHA Z ORZECHAMI. 14 dkg masła, 5 dkg cukru, 18 dkg mąki, 2 żółtka i łyżkę kwaśnej śmietany, zagnieść szybko na tęgie ciasto, które się zostawia przez godzinę w chłodzie. Podłużną formę wykłada się papierem natartym masłem, tak, aby brzegi wystawały, ciasto wałkuje się na długi pas, który się układa w formie na papierze i piecze niezupełnie. **Nadzianka:** 10 dkg zmielonych orzechów, 10 dkg cukru z wanilją, 5 dkg rozmiękłej w cieple czekolady, miesza się z tęgą pianą z 3 białek, wkońcu dosypuje się łyżkę tartej bułki. Na pół upieczone ciasto pokrywa się malinową lub inną dobrą marmoladą, zalewa orzechową nadzianką i wstawia zpowrotem na 20 minut do piecyka. Ciasto kraje się w podłużne kawałki i posypuje cukrem waniljowym.

BUDYŃ POMARAŃCZOWY. Dużą soczystą pomarańczę gotuje się w całości przez 3 godziny w wodzie, której trzeba w trakcie gotowania dolewać, tak, aby pomarańcza ciągle była pokryta. Gotować należy powoli z uwagą, aby wśród gotowania nie pękła i tem samem soku i smaku nie straciła. Po ugotowaniu przeciera się pomarańczę wraz z skórką przez włosiane sito. Do przetartej masy dodaje się 12 dkg cukru i 4 żółtka, i uciera dość długo, potem dochodzi do tego piana z 4 białek i 3 łyżki okruchów biszkoptowych lub makaronikowych. Masą napełnia się formę budyniową i gotuje na parze 40 minut. Krem waniljowy lub szodon jako polewa.

BUDYŃ KASZTANOWY. 4 żółtka, 8 dkg cukru z wanilją, 8 dkg masła, utrzeć — dodać 10 dkg gotowanych przetartych kasztanów (ważyć ugotowane i bez łupki), wkońcu dodaje się pianę z 4 białek i 2 łyżki tartej przesianej bułki. Gotować w formie przez 40 minut. Można też upiec. Podaje się z bitą śmietanką lub kremem czekoladowym.

Sc. Ko.





NOWOŚCI
GOSPODARSTWA DOMOWEGO

Ciasnota mieszkań zmusza nas do „oszczędzania" miejsca i używania sprzętów najmniej go zajmujących. Obok zreprodukowany wieszak z pięcioma haczykami posiada ramiączka do wieszania ubrań i ma tę zaletę, że można go złożyć w pół, gdy jest wolny, wskutek czego zajmuje jak najmniej miejsca.

A oto drugi wieszak kuchenny na ścierki również odznaczający się praktycznością, gdyż może pomieścić większą ilość ścierek.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

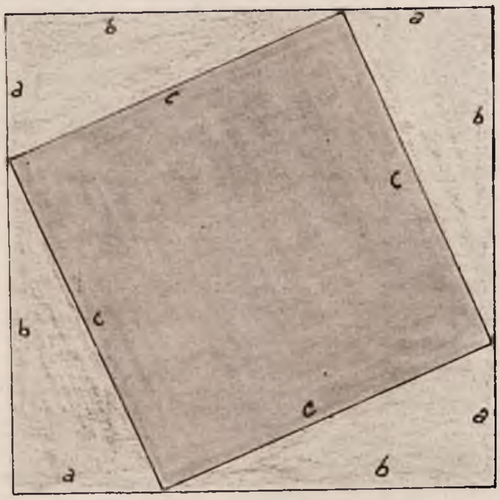
Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Tydzień 10	**Luty** 28 dni
NIEDZIELA **28** Romana	Przystawka à la Bristol. Omlety z grzybami lub nóżki cielęce faszerowane. Pularda z rożna z jarzynkami. Budyń pomarańczowy z szodonem. Kolacja: Mieszana wędlina z sałatą selerową.
	Marzec
PONIEDZ. **1** Albina bisk.	Rosół z groszkiem ptysiowym. Sztuka mięsa z sosem ostrym vinaigrette. Zrazy siekane z kaszą tatarczaną. Kompot z suszonych moreli i jabłek. Kolacja: Śledzie smażone z ziemniaczkami.
WTOREK **2** Heleny	Zupa z móżdżku z grzankami. Włoska kapusta lub bulwy w cieście. Pieczeń nerkowa nadziewana. Legomina krucha z orzechami. Kolacja: Kotleciki z pieczeni cielęcej panierowane.
ŚRODA **3** Kunegundy	Zupa jarzynowa purée z grzankami. Kaczka pieczona, nadziewana jabłkami, do niej fritki. Strudel z makiem. Kolacja: Śledzie marynowane, ziemniaczki w mundurkach.
CZWARTEK **4** Kazimierza kr.	Barszcz czysty z uszkami. Płucka z wątróbką po wiedeńsku. Pieczeń na dziko z makaronem. Budyń kasztanowy. Kolacja: Knedelki ziemniaczane, nadziewane siekaną szynką lub powidłami.
PIĄTEK **5** Fryderyka op.	Grzybówka z płatkami. Fasolka na kwaśno z krokietkami. Ryba à la matelot z makaronem. Biszkopt z bitą śmietaną. Kolacja: Gotowany dorsz z sosem holenderskim.
SOBOTA **6** Kolety p.	Krupnik na podróbkach. Salsefia zapiekana w białym sosie. Bitki cielęce w pomidorowym sosie z ryżem. Tort serowy. Kolacja: Naleśniki z kaszką krakowską i serem.

HOCKI-KLOCKI

Rozwiązania z N-ru 8-go.

PODRÓŻ PO ANGLJI.



Warunek odwiedzenia wszystkich miast tylko po jednym razie nie posługując się żadną inną drogą lądową prócz kolei oznaczonych na mapie, można spełnić tylko dzięki małemu trickowi: posłużyć się drogą morską, co do której żadnych zastrzeżeń w zadaniu niema. Jak widać z rysunku, miasta B i C leżą nad morzem i jeżeli się je przebędzie drogą wodną, w dalszym zwiedzaniu Anglji, zgodnie z warunkami, nie będzie już żadnych trudności.

WOJNA RULOŃSKA.

Rozumowanie nie jest poprawne i nie prowadzi do wniosku wysnutego przez autora propagandowego plakatu. Dane liczbowe, dotyczące śmiertelności żołnierzy na froncie i ludności cywilnej, nie odnoszą się do **przeciętnego** tysiąca obywateli, a więc nie można ich porównywać. Na tysiąc cywilów składa się duży odsetek niemowląt, starców i chorych, o wielkiej śmiertelności. Tysiąc żołnierzy frontowych składa się wyłącznie z ludzi młodych i zdrowych, których śmiertelność w mieście jest minimalna.

NA BIEGUNIE PÓŁNOCNYM.

Chata Ingoogooka stała w odległości 3 km od Bieguna Północnego.

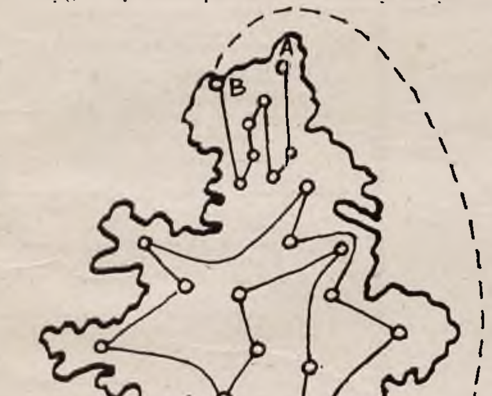
ROZWIĄZANIE KONIKÓWKI Z Nru 8.

„Wiedzieć że wiemy, to co wiemy, i wiedzieć, że nie wiemy tego, czego nie wiemy — oto jest wiedza". (Konfucjusz).

ROZRYWKI UMYSŁOWE

TWIERDZENIE PYTAGORASA.

Twierdzenie Pytagorasa... Któż go nie pamięta? To zmora, która spędzała nam w szkole nieraz sen z powiek. Taki trudny zawiły dowód na prawdę, że kwadrat na przeciwprostokątni ma być równy sumie obu kwadratów na przyprostokątniach! Tyle trzeba było kreślić, tyle pisać. Jeszcze dziś niejeden niezbyt w matematyce rozmiłowany wzdryga się na wspomnienie zawiłych rysun-



ków i wyliczeń. Nie jest to jednak tak straszne. Dowodów na słuszność pytagorejskiej tezy jest wiele i nie wszystkie są zawiłe. Dla przypomnienia dawnych spraw starszym i dla ułatwienia zadania młodszym podajemy jeden z najstarszych dowodów słuszności twierdzenia Pytagorasa, pochodzący z czasów grubo... przedpytagorejskich! Jest to dowód hinduski. Hindusi ograniczali się tylko do rysunku, na którym pisali jedno słowo: Patrz! Dla biegłego w geometrji to słowo i rysunek wystarczały. Dla mniej biegłych trzeba przeprowadzić rachunek prosty i łatwy. Poniżej go przytaczamy.

$c^2 = (a+b)^2 - 4 \quad \frac{ab}{2}$

$c^2 = a^2 + 2ab + b^2 - 2ab$

$c^2 = a^2 + b^2$.

Dokończenie ze str. 25-ej.

Tylko bez przesady i utartych szablonów! — pomyślałem sobie w momencie, gdy Jadwiga Wajsówna podała mi z uśmiechem rękę, która dla naszych barw zdobyła srebrny olimpijski medal. Niedługo potem przekonałem się, że z panną Jadzią, to tylko w ten sposób. Szczera, otwarta natura tej świetnej sportsmenki odezwała się w następującej odpowiedzi:

— *Gdyby komuś, na kim mi bardzo zależy, chodziło o to, abym zaprzestała uprawiania sportu, wówczas może być pan pewny, że nie zawahałabym się ani chwili...*

O sobie samej ani słowa! Ta nieudana skromność przejawia się w całem zachowaniu p. Wajsówny i ona to napewno zdobywa jej coraz większe zastępy sympatyków z pośród tych osób, które choć raz zetknęły się z naszą mistrzynią.

Podczas rozmowy, która toczyła się w mało-sportowem środowisku, bo poprostu na popołudniowym dancingu, dowiedziałem się, jak właściwie do tego doszło, że Jadwiga Wajsówna została dyskobolką. Oto przypadek — ten prawdziwy, niekoronowany władca losów ludzkich — sprawił, że w r. 1928, a więc wówczas, gdy świat cały rozbrzmiewał triumfem Konopackiej na Olimpjadzie w Amsterdamie, mała mieszkanka Pabjanic po raz pierwszy stanęła na boisku sportowem. Brat p. Wajsówny, sam sportsmen, obserwują raz w pobliskiej Łodzi trening zawodniczek, zapowiedział, że sprowadzi tam swą młodszą siostrę, która „dopiero pokaże, jak się rzuca dyskiem". I rzeczywiście — siostra nie sprawiła mu zawodu! Po krótkim treningu, jeszcze w tym samym sezonie pobiła rekord swego okręgu, należący przedtem do doskonałej zawodniczki Kobielskiej, znanej dziś światu sportowemu pod nazwiskiem Cejzikowa. Start odbył się w największej tajemnicy przed władzami szkolnemi, które gotowe były każdej chwili „wyciągnąć najdalej idące konsekwencje" z tej niesubordynacji uczennicy, wyłamującej się z pod surowych przepisów, zakazujących młodzieży należenia do klubów i związków sportowych. Ta „zmora szkolna" wlokła się za dziewczyną przez lata całe. Można sobie wyobrazić, jak jej to pomagało w dążeniu do rekordu, którym potem szczycić się miał kraj cały!

Tak więc rozpoczęła się karjera naszej najlepszej dyskobolki, która przy pierwszym swym starcie napewno nie marzyła o laurach olimpijskich, ale która potem mimo uzyskania najwyższej rangi sportowej pozostała skromną „panienką z Pabjanic".

J. L.

WIELKIE TRANSAKCJE.



Kasjer: — A jak będzie z zapłatą?
Klient: — Jak pan sobie życzy! Służę albo czekiem bez pokrycia, albo zaprotestowanym wekslem. („Ric et Rac")

KORESPONDENCJA DONŻUANA.



Stenotypistka: — Czy pańskie oświadczyny miłosne pisać z kopją?
Donżuan: — Proszę zrobić pięć kopij, to zawsze się może przydać... („Ric et Rac")

KURTUAZJA WROGÓW.



— Proszę, zacznijcie pierwsi strzelać!
— Niemożliwe, szlachetny wrogu, bo u was znajduje się nasza kula! („Ric et Rac")

To warto poznać..

NOWE KSIĄŻKI

Jan Sztaudynger, znany poeta i laureat nagrody literackiej Zaw. Zw. Literatów w Poznaniu, przyswoił ostatnio literaturze polskiej dzieło piękne i wartościowe, czołowej niemieckiej pisarki katolickiej, działającej w granicach Trzeciej Rzeszy, **Gertrudy von le Fort.** Jest to bardzo oryginalnie skonstruowana powieść p. t. **„Papież z ghetta"**, kreśląca dzieje rodziny Pier Leonich, pochodzenia żydowskiego, których jeden przedstawiciel, po przyjęciu chrztu, został kardynałem, a następnie obrany papieżem, jako antypapież Anaklet II. Ten wątek akcji rzucony został przez autorkę na dobrze podmalowane tło historyczne epoki (druga połowa XI. wieku i pierwsza połowa XII.), głośnej z walki między papiestwem a władzami świeckiemi o inwestyturę, budzących się nacjonalizmów i zawsze zaciętych sporów wewnętrzno-państwowych.

Jedynie szkielet powieści jest oparty na historycznych danych, reszta zaś jest wytworem fantazji poetyckiej autorki, której pięknym wykładnikiem jest wysoce oryginalna i artystyczna forma utworu. Jest to dzieło wybitnie ideowe, ale autorka potrafiła być wysoce objektywną w malowaniu ideowych walk zwłaszcza między psychiką i życiem katolików, a psychiką żydowską, która nawet na przechrztach wywiera niezatarte piętno.

Styl i język autorki odznacza się monumentalną prostotą, to znów biblijnym tonem, albo pięknemi, nieskomplikowanemi metaforami. Doskonale ducha utworu i jego formę odtworzył w przekładzie Sztaudynger. Pogratulować mu należy trafnego wyboru utworu współczesnej literatury niemieckiej, który ukazał się nakładem poznańskiej księgarni św. Wojciecha.

Jedną z najgłośniejszych obecnie publikacyj jest niewielka książeczka **André Gide'a „Powrót z ZSRR"**, przełożona obecnie przez J. E. Skiwskiego, a wydana nakładem Biblioteki Polskiej. Książeczka ta maluje dosadnie z wielką szczerością i prawdomównością rozczarowanie francuskiego entuzjasty ustroju komunistycznego, który zwiedził Rosję sowiecką. Choć wyraża autor uznanie dla niektórych objawów życia sowieckiego, to jednak przeraża go duchowe i materjalne niewolnictwo ludności, okropna ignorancja, upadek kultury, bezgraniczna nędza obok gigantycznych a często mało produktywnych akcyj. „Powrót" jest bardzo ciekawą publikacją jako dokument bankructwa marzeń entuzjasty ustroju sowieckiego. **(swb).**

NA SCENIE.

Teatr Polski w Poznaniu wystąpił z prapremjerą dramatu znanego poety Wojciecha Bąka. Jego pierwsza sztuka p. t. **„Protest"** (w 3-ch aktach) porusza na tle konfliktu małżeńskiego sprawy zasadnicze życia „ułatwionego", głośno protestując przeciwko życiu odduchowionemu, sprowadzonemu wyłącznie do kwestyj materjalnych. Sztuka posiada cztery główne postacie, małżonków Jerzego i Barbarę, którzy mają się rozejść, matkę Barbary i przyjaciółkę Hanię, która pośredniczy swoją amoralnością w sporze małżonków. Sztuka, drukowana uprzednio na łamach tygodnika „Prosto z Mostu", gdzie obecnie ukazuje się drugi dramat Bąka „Tyberjusz", wzbudziła żywe zainteresowanie i uzyskała bardzo pochlebną ocenę krytyki.



Wojciech Bąk, autor „Protestu", granego przez Teatr Polski w Poznaniu.

W. Noskowski pisze, że „dobrze mówi o artystycznych dążeniach autora to, że nie wpadł w najtańsze sposoby: w „propagandę", w łatwy patos i w banalne namaszczenie, które jest na swój sposób autorskiem „życiem ułatwionem". P. Bąk nic od siebie nie moralizuje, ale obrany wycinek życia przedstawia nam z taką ironją, z takim sarkazmem, że za tą karykaturą wyczuwa się siłę moralną, jaka tę jadowitą karykaturę na świat wydała. Widz chwyta to odrazu i oklaskami łączy się z autorem w jego ataku na poglądy, które są na ustach wszystkich postaci „Protestu" z wyjątkiem jednej jedynej: z wyjątkiem tej, która jest ich ofiarą, z wyjątkiem Barbary".

Role sztuki napisane są umiejętnie i świadczą o teatralnym instynkcie autora. Wykonawcami ich są T. Koronkiewiczówna (Barbara) B. Ludwiżanka (Hania), J. Sachnowska (Matka) i W. Hańcza (Jerzy). Artyści opracowali swe role pod kierunkiem reżyserskim dyr. R. Boelkego bardzo starannie. Sztuka ma zapewnione powodzenie. „Powinno się roznieść — pisze Noskowski — że ktoś bardzo zdolny mówi o sprawach pełnych znaczenia, które przeżył głęboko".

W Warszawie w Teatrze Nowym graną jest obecnie komedja młodego pisarza francuskiego M. Durana p. t. **„3—6—9"**, którą opracował scenicznie Juljusz Osterwa. To opracowanie Osterwy komedyjki nieznanego dotąd w Polsce pisarza wywołało poważne zastrzeżenia krytyki, która nie wie co przypisać autorowi, a co reżyserowi. Boy Żeleński nazywa to poprostu „ciuciubabką Osterwy", protestując przeciwko tej niepowołanej i amatorskiej operacji na autorze. Aktorsko sztuka wykonana została poprawnie, ale z winy reżysera bałamutnie. Główne role odtwarzają Osterwa, Gorczyńska, Żeliska i Wesołowski. **(b).**

NA NAJLEPSZEJ FALI

Niedziela, 28 lutego.

9.00 Transmisja nabożeństwa z Łodzi.
10.30 „Arie i pieśni dawne" (płyty).
12.03 Poranek muzyczny (z Łodzi).
14.00 Transmisja z marszu narciarskiego Zułów—Wilno.
14.30 Fragment III Międzynarodowego Konkursu im. Chopina. Transmisja z sali Filharmonji Warszawskiej.
15.30 Audycja dla wsi.
16.25 Wznowienie słuchowiska „Pod ziemią".
17.05 „Podwieczorek przy mikrofonie".
19.00 „Od Marty z Ongrodu do Bronki z Nowoplipek" — szkic literacki.
19.20 Muzyka angielska (płyty).
21.00 „Na wesołej lwowskiej fali".
21.30 Recital fortepjanowy Lajosa Heimlicha.
22.00 Koncert orkiestry Tadeusza Seredyńskiego.
23.00 Melodje taneczne (płyty).

Poniedziałek, 1 marca.

12.03 Koncert orkiestry wojskowej.
12.50 „Gdzie kobieta dobrze rządzi — tam gospodarz nie pobłądzi" — obrazek dla kobiet wiejskich.
15.15 Zespół „Almar i Otten".
15.55 „Wszystkiego po trochu" — audycja dla dzieci.
16.30 Fragment III Międzynarodowego Konkursu im. Chopina. Transmisja z sali Filharmonji Warszawskiej.
17.00 „Polska w demokracji Europy" — odczyt.
17.15 Józef Haas: „Dzień i noc" suita na sopran i orkiestrę.
17.50 „Stulbia — miotacz harpunów" — pogadanka.
19.00 Audycja żołnierska.
19.30 Koncert Małej Orkiestry P. R.
20.55 „Potrójny" — fragment słuchowiskowy z dramatu Plauta.
21.30 Muzyczna mozaika wileńska „Karaimi".
22.00 Koncert muzyki holenderskiej.
23.00 Melodje taneczne płyty).

Wtorek, 2 marca.

12.03 Kamil Sain-Saens (płyty).
15.15 Mała Orkiestra Polskiego Radja.
16.30 Recital śpiewaczy Wikt. Bregy.
17.00 „Dni powszednie państwa Kowalskich" — powieść mówiona.
17.15 VIII audycja z cyklu „Sonaty skrzypcowe Beethovena".
17.35 Kwadrans Alberta Ketelbey'a (płyty).
17.50 „Miłość na mrozie" — monolog.
18.10 Sport w miastach i miasteczkach — pogadanka.
19.00 „Dyskutujmy": „Współzawodnictwo czy współdziałanie".
19.20 „Niemoralny, zakazany walc" — audycja muzyczna.
22.30 Szkic literacki.
22.45 Muzyka z dancingu „Cafe-Club" w Warszawie.

Środa, 3 marca.

12.03 Koncert w wykonaniu zespołu Haliny Adamskiej-Grossmanowej.
15.15 Józef Schmidt i orikestra Dajos-Bela (płyty).
16.10 „Zagadki muzyczne" — audycja dla dzieci.
16.30 Utwory fortepjanowe w wykonaniu Olgi Łapickiej.
17.00 „Kawalerja na nowoczesnem polu bitwy" — odczyt.
17.15 Mała Orkiestra Polskiego Radja.
17.50 „Zniesławienie i zniewaga" — pogadanka.
19.00 „Zamurowani" — epizod z powieści.
19.20 Współczesna twórczość skrzypcowa.
19.55 Koncert rozrywkowy.
21.00 „Opowieść o Chopinie" — „Obrazy miłej Ojczyzny".
21.45 Muzyka lekka w wyk. Orkiestry Symfonicznej P. R.
22.40 Melodje taneczne (płyty).

Czwartek, 4 lutego.

12.03 Koncert orkiestry dętej „Wireless Military Band".
15.15 Trio Polskiego Radja.
16.35 Aniela Szlemińska i Jerzy Czaplicki (płyty).
17.00 „Źródło przestępczości u dzieci": „Ulica" — odczyt.
17.15 Utwory na dwa fortepjany wykonają Loris i Ida Margaritis.
17.50 „Książka i wiedza": „Nazwiska polskie" i „Kultura ludowa" (z Poznania).
19.00 Premjera słuchowiska „Żona Lota".
19.35 Melodje filmowe w wyk. Małej Orkiestry P. R.
20.30 „Skały Małopolski Wschodniej" — feljeton.
21.00 „Sylwetki kompozytorów polskich" — Jan Gall.
21.45 Recital fortepjanowy Marguerity Long.
22.30 Koncert w wyk. Małej Orkiestry Polskiego Radja.

Piątek, 5 marca.

12.03 Koncert orkiestry wojskowej.
15.15 Koncert rozrywkowy.
16.30 Koncert orkiestry łódzkiej.
17.00 „We mgle wśród lodowców" — feljeton.
17.15 Fragment III Międzynarodowego Konkursu im. Chopina. Transmisja z sali Filharmonji Warszawwskiej.
19.00 „W restauracji" — obazek obyczajowy z powieści.
19.20 „Z pieśnią po kraju".
19.45 Fragment operowy.
20.15 Koncert symfoniczny. Transmisja z Filharmonji Warsz.
22.30 „Dwie przygody pana Breloc" — skecze.
23.00 Melodje taneczne.

Sobota, 6 marca.

11.30 Audycja dla szkół.
12.03 Georges Gershwin — twórca muzyki jazzowo-symfonicznej.
14.30 „Związek 4-ch zuchów" — słuchowisko dla dzieci.
15.15 Koncert rozrywkowy (płyty).
16.15 „Melodje dla zakochanych" — koncert ork. A. Hermana.
17.00 Nabożeństwo z Ostrej Bramy w Wilnie.
19.00 Audycja dla Polaków z zagranicy.
19.30 „W polskim domu".
21.00 Koncert wieczorny.
22.00 Kukułka wileńska.
22.30 Mała Orkiestra Polskiego Radja.

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa", zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych artykułów Redakcja nie zwraca

Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie. do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.